RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



WARSZAWA

ROK VII SIERPIEŃ—1933

KURSY HANDLOWE GRACJANA PYRKA.

Istniejące w Warszawie Kursy Handlowe i Języków Obcych pod kierunkiem Gracjana Pyrka, rozpoczynają 28 roku istnienia. Na Kursach wykładane są następujące przedmioty: buchalterja wszelkich systemów z przystosowaniem do banków, fabryk, gospodarstw rolnych, wszelkiego rodzaju instytucyj handlowych; rachunkowość kupiecka, korespondencja handlowa w polskim i w obcych językach, organizacja biurowa, kantor praktyczny (roboty biurowe), języki obce, prawo cywilne, handlowe i w szczególności, wszystkich dziś obowiązujące, prawo podatkowe, ekonomja społeczna, towaroznawstwo, skarbowość, stenodaktylografja, kaligrafja, geografja ekonom. i w szczególności Polski. Pisanie na maszynach, stenografja, historja i nauka o handlu.

Języki obce wykładane są metodą bezpośrednią, praktyczną, używającą język obcy bez tłumaczenia na polski, ze specjalnem uwzględnieniem terminologji i korespondencji handlowej. Przy szkole istnieją kursy wyszkolenia buchalterów, kasjerek, stenotypistek, maszynistek i biuralistek płci obojej. W ciągu roku organizowane są dla słuchaczów bezpłatne odczyty nauk handl. i ekonomicz. oraz urządzane są wycieczki do większych zakładów handlowych i przemysłowych pod kierownictwem profesorów-specjalistów, wykładających na Kursach.

Wykłady odbywają się w porze rannej, popołudniowej lub wieczorowej, stosownie do zajęć słuchaczów. Przy Kursach istnieje Koło samopomocy wychowańców oraz bezpłatne Biuro Pośrednictwa Pracy dla Uczniów. Kursy mieszczą się w obszernym i czystym lokalu przy ul. Świętokrzyskiej Nr. 17.

Niezamożni korzystają z ulg w opłacie.

Dla maturzystów i studentów, płci obojej, organizują się specjalne wykłady w zakresie wyższym.

UWAGA: Osoby zamieszkałe na prowincji mogą całkowity kurs nauki przechodzić sposobem korespondencyjnym. Posyła im się w tym celu specjalnie redagowane skrypta.

KULT ŚW. HUBERTA.

Józef Władysław Kobylański, kapitan W. P. w Warszawie, Żoliborz, ul. Drużbackiej 9, przygotowuje do druku ilustrowaną pracę p. t. „Kult św. Huberta na ziemiach polskich", i zbiera w tym kierunku wszelkie materjały i informacje. Za naszem pośrednictwem zwraca się do Wielebnego Duchowieństwa z prośbą o nadsyłanie mu bezpośrednio pod adresem j. w. wszelkich wiadomości o śladach kultu tego świętego Patrona myśliwych. Chodzi o wiadomości dotyczące obrazów, rzeźb, chorągwi, witraży św. Huberta; dane o kapliczkach i obrazach tego Świętego w prywatnych domach, o strzelbach, prochowniach itp., na których jest wyryte widzenie św. Huberta. Zbiera też obrazki, medaliki i fotografje tego Świętego oraz wiadomości o nich. — Prośbę p. Kobylańskiego polecamy bardzo Wielebnemu Duchowieństwu.

WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE W P. K. O. W M-CU CZERWCU 1933 r.

W miesiącu czerwcu wkłady oszczędnościowe a także i liczba oszczędzających w P. K. O. wykazują dalszy bardzo poważny wzrost.

Wkłady oszczędnościowe wzrosły o 11.608.538 zł., osiągając na dzień 30. VI 1933 r. — stan 427.154.860 zł. łącznie zaś z wkładami pochodzącemi z waloryzacji dawnych wkładów markowych zł. 454.348.467.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu miesiąca czerwca P. K. O. wydała 22.978 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 30. VI 1933 ogólną liczbę 1.007.896 książeczek, łącznie zaś z wkładami pochodzącemi z waloryzacji 1.042.263 książeczek.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł. 700, 1/2 — zł. 380, 1/4 — zł. 200, 1/8 — zł. 120, 1/16 — zł. 70, 1/32 — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł.; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 436-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3—5 po poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK VII. WARSZAWA, SIERPIEŃ 1933.



TORUŃ. KOŚCIÓŁ ŚW. JANA.

UKRAINA I POLSKA

„Sprawa ukraińska". Termin ten obejmuje szereg zagadnień dość zróżniczkowanych, nawet jeśli nie patrzeć na nie z punktu widzenia historycznego. To, co dziś nazywa się Ukrainą, nie zawsze nią było, biorąc ze stanowiska politycznego a nawet etnograficznego.

Nie znaczy to, żebyśmy chcieli odmawiać Ukraińcom, jak dziś siebie nazywają, nietylko prawa do tej nazwy, ale co ważniejsze do symbolizowanej przez nią treści politycznej. Jesteśmy zdania, że Polska ma poważny interes, związany z przychylnem ustosunkowaniem się do ukraińskiego programu politycznego.

Tem nie mniej jesteśmy zdania, że historyczne wyjaśnienie sobie źródeł i charakteru pewnych zjawisk ma doniosłe znaczenie dla ich praktycznego rozwiązania.

Na początek będzie wcale pożyteczne wyjaśnienie terminu Ukraina w jego historycznym rodowodzie. Nie ulega wątpliwości, że termin ten miał ongiś inne znaczenie topograficzno-polityczne. W dawnych dokumentach polskich z wieku 17-go używano jej w odniesieniu do obszaru trzech ówczesnych południowo-wschodnich województw: kijowskiego, bracławskiego i czernichowskiego a czasem i do Zaporoża (m. w. odpowiadających dawnej Rusi kijowskiej). W Unji Hadziackiej utworzyły one Wielkie Księstwo Ruskie pod hetmanem Wyhowskim. Inne ziemie ruskie jak np. Ruś Czerwona (Halicz), Ruś Zakarpacka, Bukowina, Wołyń, Podole, Polesie miały zupełnie odrębną fizjognomję.

Z dokumentów mówiących o Ukrainie można zacytować: List od kancl. Żółkiewskiego („Alta pax z łaski Bożej na Ukrainie"...) 20/XII. 1619. Deklarację króla do Kozaków 24/VIII. 1625. Deklarację Kozaków zaporoskich 20/X. 1625. Patrz „Zbiór pamiętników o dawnej Polsce", Lwów 1833 r. I str. 149. Pamiętnik Starosty Łęczyckiego p. t. „Konnotata wypadków"..., Lipsk 1858, str. 84: „Annus 1654... obrona ojczyzny nie namówiona, na której zgubę Chmielnicki oddaje posłuszeństwo swoje carowi moskiewskiemu. Poddaje mu Kijów i wszystką Ukrainę"...

„Utikaj Lasze, bo Słucz nasze" — mówiła popularna piosenka z czasów Chmielnickiego, kładąc w ten sposób granicę Ukrainy gdzieś w połowie bracławskiego.

Zapoznajmy się z historją Rusi Czerwonej, zwłaszcza od czasów królowej Jadwigi. Jadwiga wybrała się wkrótce po koronacji na istną wyprawę po złote runo dla korony polskiej. „Ani bowiem — jak pisze Szajnocha — wodnista Wielkopolska, ani leśny kraj Mazowsza i Małopolski, ani zimna, mroczna, uboga Litwa, nie miały podobieństwa do Rusi. Tu od źródeł Dniestru i Bohu rozpościerały się nieprzejrzane okiem obszary urodzaju, płynęła ziemia (po dawnej przypowieści) mlekiem i miodem". Niestety, na tym horyzoncie istnego raju ziemskiego pojawiła się czasem znienacka groźna chmura, zdolna krainę bogatą, urodzajną i szczęśliwą zamienić w pustynię i w popielisko cmentarnych zgliszcz i pogrążyć w rozpaczy ludność po stracie najbliższych. Tą chmurą orda tatarska. Jeszcze z czasów królowej Elżbiety pamiętne były liczne wypady ordy tatarskiej, trzema zwykle szlakami ciągnącej na północ: ukraińsko-wołyńskim czyli czarnym, podolskim czyli kuczmańskim i halickim czyli wołoskim. Zbiegały się one wszystkie przeważne pod Lwowem, który wabił żądne łupu hordy swem bogactwem grodu kupieckiego, wiążącego niby w sercu kupieckie szlaki z Bałtyku do Euksynu. To też, jeszcze w wieku 16-tym mawiano: „Lwów — miasto przesławne w pobliżu Tatar".

W momencie, gdy królowa Jadwiga wybiera się na Ruś, stan jej był wielce opłakany. Przedewszystkiem była ona podzielona między różne berła. Część zachodnia ze Lwowem i Przemyślem i skrawkiem Halicza była w ręku węgierskiem. Wschodnią częścią dzielili się książęta litewscy i wołoscy. Bełz, Lubaczów i Busk trzymał litewski książę Jerzy Narymuntowicz. O Pokucie, Śniatyń i Kołomyję dobijali się hospodarowie wołoscy. Liczne dobra posiadał też na Rusi były książę ruski Władysław Opolczyk.

Oczywiście takie rozdrobnienie tych ziem, tysiącem niedogodności odbijało się na życiu Rusi Czerwonej. To też bolała Ruś nad swem rozczłonkowaniem; w powrocie do związku z Polską widziała gwarancję swej lepszej doli.

Przecież jeszcze za czasów Kazimierza starosta przemyski Detko pisał: „Poduszczenia szatańskie wznieciły niezgodę pomiędzy nami a jegomością królem polskim; lecz za natchnieniem Ducha Bożego odprzysięgnęliśmy się kusiciela dusz ludzkich, i wróciła znowuż zgoda i jedność".

Rzeczywiście rządy mądrego Kazimierza spłynęły tysiącem pożytków i dobrodziejstw na ziemię ruską. Otoczył on opieką wszystkie dziedziny życia, handel, rolnictwo, bezpieczeństwo kraju. Nie obce mu też były sprawy religijne. Za jego to czasów stanęła jedna z najokazalszych później świątyń ruskich, katedra św. Jura a także kościół ormiański.

Przez pamięć dla tych tak niedawnych a korzystnych dla Rusi rządów polskich otwierały chętnie miasta swe wrota wnuce Kaźmierzowej, śpiesząc z wiernopoddańczym hołdem, z prawdziwą składanym radością.

Na jesieni, po powrocie z Litwy, Jagiełło wyrusza również w ślady swej królewskiej małżonki i już razem odbierają przysięgi wierności od ludności dawnej polskiej dzierżawy, tęskniącej zresztą do związku z Polską.

Nic więc dziwnego, iż gdy po objęciu już Rusi rozeszła się pogłoska, że Polacy mogliby Ruś opuścić, stolica Lwów wysyła do Jagiełły posłów, proszących króla o utrzymanie swej opieki. W związku Rusi z Polską widzą Rusini gwarancję swej pomyślności, gdyż, jak powiada metropolita staroruski Kipryan — „ziemie ruskie kwitnęły wówczas (pod rządami polskiemi) dostatkiem i obfitością wszech darów bożych i kwitnęły też sławą po świecie, jak i po dziś dzień".

Nie ulega więc wątpliwości, że zupełnie odrębnie kształtowały się losy Rusi Czerwonej a odrębnie pozostałych ziem ukraińskich Rusi.

O ile pierwsza już od czternastego wieku głęboko wrastała w organizm Rzplitej, o tyle drugie a zwłaszcza Kijowszczyzna i Zaporoże, leżące na linji demarkacyjnej wpływów Polski i Moskwy, chyliły się raz w tę, drugi raz w drugą stronę.

Rozgrywało się tu starcie dwu ekspansujących się kultur: łacińsko polskiej i bizantyjsko-ruskiej (jak Andrij Kryżaniwskyj powiada „bizantyjsko-ukraińskiego

Wschodu" Biul. p. ukr. Nr. 4 1933). W jego wyniku powstawał nowy ośrodek kulturalno-polityczny, dążący do samodzielności. Ten fakt oczywiście nie mógł liczyć na łatwą aprobatę sąsiadów. Prof. J. Doroszeńko powiada („Zarys historji Ukrainy" 1933): „Opierając się na swej siczowej organizacji i na zdobytych własnemi siłami zasobach, niżowa kozaczyzna pozwalała sobie nietylko na samowolne napady na Turków i Tatarów, ale rozpoczęła prowadzenie własnej polityki międzynarodowej. To stało się przyczyną całego szeregu konfliktów z polskiemi władzami". Konfliktów wojennych.

Jakież ich były przyczyny.

Zdaniem tegoż historyka przedewszystkem sprawy religijno-cerkiewne. Psychika Kozaka a niemniej ukrainskiego chłopa jest nasycona religijnością. Na punkcie religijno-cerkiewnym jest też ona najczulsza. Stąd konflikty, których przyczyn upatruje Doroszeńko w „ucisku religijnym" ze strony Kościoła rzymsko-katolickiego; na tle walki z tym „uciskiem" pięknie się zarysowuje postać metropolity Piotra Mohiły.

Z „uciskiem" religijnym łączyła się przemoc szlachecka (wspomnieć tu wreszcie należy o motywie gospodarczym — żydzi). Te dwa czynniki z jednej strony wywołały ożywienie ruchu kulturalnego (dwa wieki blisko trwająca polemika dokoła unji) z drugiej, jako wynik ruchu wyzwoleńczego — bunty.

Niestety, zdaniem współczesnych nam Ukraińców pogląd na te kwestje został po stronie polskiej skrzywiony. Polacy zatracili świadomość procesu emancypacji kulturalno-politycznej, który się na Ukrainie odbył.

Patrzyli na to, jak „cudzoziemcy", którzy owszem ulegali czarowi romantycznemu Ukrainy (szkoła ukraińska), ale „nie potrafili wrosnąć organicznie w glebę realnej historyczności ukraińskiej. Inni — powiada Kryżaniwskyj — znów znaleźli się w sidłach buńczucznego, zaślepionego mesjanizmu, opartego na rdzennie katolickiej podstawie walki z islamem". Mesjanizm ten, dalekie echo wypraw krzyżowych, wcisnął się niebezpiecznie i „nierozumnie" do historycznej rzeczywistości polskiej — tak to ocenia publicysta ukraiński, zwłaszcza gdy ten front mesjaniczny widzi zwrócony wkońcu przeciw Ukrainie.

Romantycy patrzyli na Ukrainę jak na jakąś ziemię obiecaną, która jawiła im się nieomal jak operetkowa Hellada z „Pięknej Heleny". Inni widzieli w niej tylko „Hajdamaczyznę" i „step", pokryty „rizunami" i szumiący mordem i pożogą: „Ogniem i mieczem". Sekundowali im tu zresztą i sami Ukraicy, jak Tymko Padura, który powiada, że Ukrainiec to „dykyj syn pryrody, de pokaże mstywu twar, krasiat'zemlu, krasiat'wody, krowy, riczky i pożar".

Zdaniem Kryżaniwskyja był to obraz fałszywy, którego stworzenie jest szczególną zasługą Sienkiewicza — „genjalnego kłamcy", jak go nazwał prof. Antonowicz *).

„Sienkiewicz podchwycił ten mesjanizm — pisze ów ukraiński publicysta — i, dając mu piękne ramy obrazowe, uczynił go popularnym. Talent jego był tak wielki, iż obrazy, przezeń stworzone, stały się bliskie całemu społeczeństwu. Cała czytająca Polska zagłębiła się niebacznie w historji, przez niego sfałszowanej, aby przez dłuższy czas myśleć jego kategorjami i iść legendarnym, fantastycznym szlakiem Zagłoby, Wołodyjowskich i Skrzetuskich ku wielkiej mecie odrodzenia Polski historycznej.

Romansem swoim „Ogniem i Mieczem" Sienkiewicz na dłuższy czas postawił kropkę nad „i" w sprawie ukraińskiej. Problem ukraiński, skomplikowany problem współżycia historycznego dwóch wielkich narodów został rozwiązany:

Step stał się polski!

Step stał się polski historycznie i kulturalnie. Sienkiewicz kilku genjalnemi linjami wskazał, jak broniły owego stepu pancerne chorągwie potężnej Rzeczypospolitej, Sienkiewicz opowiedział, jak powstawały szlacheckie strażnice, jak przemożnie leciała skrzydlata husarja na spotkanie dzikiemu zbuntowanemu chłopstwu... Rzeczpospolita niosła tam, na stepy, porządek i kulturę. Rzeczpospolita stawała w obronie ogólnoludzkich praw i ideałów!

„Chłopi rezuni" powstawali jedynie przeciwko swoim panom. Wodzowie ich (Chmielnicki, Krzeczowski, Bohun), chociaż im i nie brakło fantazji rycerskiej, brali udział w powstaniu z pobudek li tylko osobistych. Ideałem ich było jedynie: „bić, rżnąć i wieszać". Byli to ludzie, co stanęli na czele „pogaństwa, hultajstwa i tałatajstwa", pragnąc jedynie pomścić się za swoje drobne krzywdy. Pijany powodzeniem i chwilowem zwycięstwem Chmielnicki wie dobrze, że sprawa jego musi być przegrana. Wiedzą o tem również wszystkie postacie kozackie na stronicach romansu. Wie o tem i czytelnik!

W stepy potężnie i władczo wkroczą chorągwie Rzeczypospolitej, by okrutnie, ale sprawiedliwie ukarać „rebeliantów" i przywrócić dawny, przez Boga uświęcony, porządek na ziemiach kresowych. Chmielniczczyzna, ta błyszcząca stronica historji ukraińskiej, kiedy z burzliwego morza kozaczyzny posągowo wychyliła się postać hetmana-dyktatora, aby zapewnić swemu narodowi pełnię życia państwowego — przetwarza się w interpretacji romansopisarza polskiego na zwyczajną „rebelję chłopską", na dziki, pozbawiony ideałów bunt wewnętrzny (w stylu Pugaczowskiego). Autor świadomie odrzuca cały tragiczny splot okoliczności walki kultur, przekonań i religij, który właściwie i zrodził chmielnicczyznę, jako epokę. Z jakąś dziwną, sadystyczną radością pozbawia on skrzydeł cały ruch, w morzu gorzałki topiąc indywidualność Chmielnickiego, w zbrodniach, grabieży i gwałtach postacie innych wodzów kozackich".

Chmielnicczyzna zapowiadała zapoczątkowanie likwidacji mesjanizmu polskiego, wymierzonego ostrzem w stepy kozackie. Trzeba było stworzyć argumentację historyczną dla tego mesjanizmu, stanowiącego podstawę dla polskiej racji stanu, zakłopotanej logiką wypadków historji innego kraju.

Tego rodzaju quasi historję robili i inni M. Grabowski, K. Szajnocha, T. Korzon, z nowszych Jabłonowski, Rawita-Gawroński. Zwłaszcza T. Korzon spoglądał na kozaczyznę jako na wrzód na ciele Polski i Moskwy, hańbę cywilizacji. Polska spełniła wobec niej wielką rolę, ujarzmiając anarchję kozacką i obejmując w ramy państwową Ukrainę, „wyludnioną od czasów Batuchana" **).

(Dok. na str. 235).

*) Trzeba przyznać, że Sienkiewicz umiał przekoloryzować zarówno obraz dziczy ukraińskiej jak i polskiej reakcji, że wspomnimy tu historję Krzeczowskiego, wbrew oczywistej prawdzie historycznej.

**) Biulet. polsko-ukr. Nr. 4; 1933 r.



Nad spokojną wodą w letnie południe.

MISJONARZ

Wszystko co się w świecie dopełniło, — jest zewnętrznym, materjalnym wynikiem, jest praktycznem wcieleniem i urzeczywistnieniem myśli i uczuć zesłanych na ten świat jednostek wielkiego serca i umysłu.

Bije od nich żywe źródło światła i ciepła, obok którego miło i dobrze jest przebywać.

Praca nad wydobyciem z mroków niepamięci i wskrzeszeniem takich jednostek, — jest nietylko nęcącą i ciekawą, ale stanowi prosty obowiązek zarówno publicysty jak historyka, jest pracą wdzięczną, — naród polski bowiem w dalekiej i bliższej przeszłości wydał wspaniałe, niemające sobie równych typy moralne, które promienieją całą pełnią najwyższgo majestatu człowieczeństwa.

W szarem smutnem pasmie, jakie dzisiejsza rzeczywistość snuje dokoła nas, gdy egoizm i karjerowiczostwo wśród licznych odłamów społeczeństwa szerzy się jak zaraza, a zainteresowanie li tylko sprawami materjalnemi, wywołane zresztą ciężkiemi warunkami stało się główną — jeżeli nie jedyną troską szerokich mas, — gdy zanika coraz bardziej zdolność do poświęceń, łamią się charaktery, a siła woli słabnie zatrważająco, — z posępnych pustkowi Madagaskaru, jak świetlana zjawa wynurza się postać polskiego kapłana, który całe swe życie uczynił łańcuchem olbrzymich trudów i wprost nadludzkiego poświęcenia.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Ks. Jan Beyzym pochodził z możnej rodziny kresowej, wywodzącej się od Druckich-Horskich. Pradziad księdza Jana, zwany z tatarska Bey-Zymem za zasługi i męstwo w bitwach z Tatarami wykazane, — otrzymał od wielkich książąt litewsko-ruskich indygenat szlachecki i rozległe ziemie, położone nad rzeką Chomarem na Wołyniu.

Od nazwiska swego — przezwał on majątek ten — Beyzymy Wielkie.

Dobra owe, przechodząc z ojca na syna, długie wieki pozostawały własnością tej rodziny.

W starym dworze w Beyzymach urodził się dnia 15 maja 1850 roku przyszły misjonarz-męczennik z ojca Jana i matki Olgi hr. Stadnickiej.

Gdy wybuchło powstanie 63 roku, — mały Janek przebywał z matką w Onachowicach w pow. zwiahelskim, ojciec zaś jego walczył w szeregach powstańczych, poczem zmuszony do opuszczenia kraju, udał się do byłej Galicji, gdzie władze austrjackie zaaresztowały go i uwięziły w Ołomuńcu.

Ponieważ dwór w Onachowicach został zrabowany i spalony przez Kozaków, — p. Beyzymowa udała się do siostry swej ze Stadnickich Górskiej i zamieszkała w jej majątku — Śledzie na Podolu.

W roku 1864 —Janek oddany został do gimnazjum kijowskiego, które ukończył w roku 1870, a w dwa lata potem wstąpił do nowicjatu Księży Jezuitów w Starejwsi (w byłej Galicji). Po ukończeniu studjów i otrzymaniu święceń kapłańskich, został wychowawcą w internacie dla młodzieży OO. Jezuitów w Tarnopolu. Gdy zakład został przeniesiony do Chyrowa w 1887 roku — ks. Jan opieko-

wał się przez lat 11 młodzieżą szkolną w wieku przejściowym. a więc najtrudniejszą do prowadzenia, wykazując ogromne zdolności pedagogiczne.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, surowych, twardych, nieco mongolskich rysów twarzy, o szorstkim głosie i ruchach. Ale ta pozorna szorstkość i surowość, jak to często bywa, ukrywała serce niezwykle szlachetne i wrażliwe na ludzką niedolę, pełne miłości bliźniego zdolne do największego poświęcenia i zaparcia się siebie.

Pewnego razu do rąk jednego z kleryków w Chyrowie, — dostała się broszura p. t „Trzy lata między trędowatymi", która tak wielkie wrażenie wywarła na młodym uczuciowym młodzieńcu, że zapragnął on poświęcić się pielęgnowaniu tych najnieszczęśliwszych.

Z projektów swoich zwierzył się on O. Beyzymowi, prosząc go o pomoc w uzyskaniu pozwolenia wyjazdu u władz przełożonych.

Ale ks. Beyzym sam zapalił się do tej misji i gdy kleryk, ze względu na zbyt młody wiek pozwolenia nie dostał, on po długich staraniach zdobył je dla siebie i w dniu 17 października 1898 roku — wyjechał na Madagaskar.

Warunki w jakich odbywał swą podróż i w jakich znalazł się na miejscu mogły przerazić najbardziej nawet zahartowane serce, złamać najsilniejszą wolę!

Kraj w którym miał spędzić resztę swego życia — to posępne żałobne pustkowie bez drzew, bez ptaków, ubogie, brzydkie, nędzne...

Schronisko dla trędowatych w Ambahiwuraku, w którem znajdowało się 150 chorych, — nie miało żadnych najbardziej choćby prymitywnych urządzeń sanitarnych. Rząd francuski, prowadzący wówczas ostrą walkę z Kościołem — bardzo niechętnem okiem patrzył na opiekę nietylko pielęgniarską, ale i duszpasterską, jaką ten kapłan katolicki otoczył swe nieszczęsne „czarne pisklęta" — jak je zwykle nazywał.

O. Beyzym dostaje rozkaz zajęcia się najciężej chorymi, tymi których już trąd stoczył, oszpecił uczynił kalekami odrażającymi i groźnymi dla otoczenia. W szpitalu chorzy Malgasze nie mają nietylko żadnej pomocy lekarskiej dla ulżenia w cierpieniach, ale nawet brak im pożywienia!

Aby więc wyżywić tę liczną, a z dnia na dzień zwiększającą się gromadę nędzarzy, — ks. Beyzym pisze błagalne listy o pomoc do swych przyjaciół w Polsce i chodzi od domu do domu w Tanariwie, zbierając resztki jadła. Wróciwszy do schroniska zajmuje się gotowaniem, karmieniem najbardziej niedołężnych chorych, a resztę czasu jest sanitarjuszem, lekarzem i uczy się na gwałt po nocach malgaskiego języka, aby móc bezpośrednio porozumiewać się z krajowcami i przez szerzenie nauki Chrystusowej nieść pociechę i w mrocznych, pełnych głuchej rozpaczy duszach budzić nadzieję nagrody za morze cierpień!

I oto dzięki jego nadludzkim staraniom — śmiertelność się zmniejsza, a warunki zaczynają się zmieniać na lepsze. Zyskuje też wśród Malgaszów taką cześć miłość i wdzięczność, że gdy władze francuskie przeniosły go na inną placówkę w głąb wyspy, — ciężko chorzy na swych okaleczałych nogach podążyli piechotą przeszło 395 kilometrów, byle tylko dostać się pod skrzydła swego opiekuna.

W tym czasie porywa się on na zadanie, które ludziom przeciętnym wydaje się istnem szaleństwem. Postanawia mianowicie wybudować nowe wielkie schronisko i rozpoczyna starania o znalezienie odpowiedniego miejsca na prowincji. a znalazłszy je, mimo tysiącznych przeszkód i utrudnień, za pieniądze użebrane w Polsce — rozpoczyna budowę szpitala dla 200 trędowatych. Pracuje sam własnoręcznie przy wznoszeniu tego gmachu, a zdrowsi z pośród trędowatych dopomagają mu w tej robocie z niezwykłym u czarnych zapałem i gorliwością.

Wreszcie po latach niesłychanych trudów i wysiłków stanął w Ambatuwari szpital 1911 roku. Gmach to był zupełnie nowoczesny, urządzony według zasad higjeny, — obszerny, czysty z łazienkami, ogrodem mający też własną kaplicę z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, której kult bardzo się wśród Malgaszów rozpowszechnił.

Ale siły O. Beyzyma zaczynają się wreszcie wyczerpywać.

Kilkanaście lat żyje on w warunkach poprostu straszliwych, wśród istnych potworów ludzkich, cuchnących żywych trupów...

Ludzie zdrowi z trwogą zbliżają się do niego, to też, nie chcąc ich przerażać, albo zarazić, — styka się z nimi tylko w koniecznych wypadkach i z zachowaniem wielkich ostrożności. On sam za to nie lęka się niczego. Nie mając maski ani rękawiczek, — podaje chorym jedzenie, robi opatrunki, obwija ręce i stopy bez palców... Robi to wszystko z niezmąconą pogodą i cierpliwością, nie myśląc o sobie ani o swoich potrzebach. Wystarcza mu cztery godziny snu, trzy garstki ryżu i czarka herbaty albo wody. Czyż nie uczynił oddawna ofiary całopalnej ze swego życia?!

Gdy po kilku latach pobytu wśród trędowatych, — jeden z odwiedzających go kapłanów, — wyraził zdumienie, że tak żyjąc, jeszcze się nie zaraził, — O. Beyzym odchylił rękaw i pokazał ramię, na którem powiększała się pod skórą fioletowa plama. — Nikt o tem nie wie, rzekł, — ale ty zobacz.

Trąd ogarnął wkrótce całe jego ciało...

Zmarł 2 października 1912 roku.

Czarni jego przyjaciele wśród jęku i szlochów, — złożyli zwłoki męczennika na chórze szpitalnego kościoła, postawili w głowach krucyfiks i przywieziony z Polski, ukochany przez O. Beyzyma, obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, a całą trumnę zasypali kwieciem lilij białych, na pustkowiach jałowych Madagaskaru ręką jego wyhodowanych. Potem wykopali grób na cmentarzu trędowatych aby ten, który ich tak ukochał i ojcem im był najlepszym — już na wieki wśród nich pozostał...

Nie wygłoszono nad mogiłą jego mów pochwalnych, nie łopotały nad nim liczne sztandary, nie brzmiała muzyka, nie szli za jego trumną dygnitarze, ani delegacje z wieńcami, nie oddano salw honorowych...

W nieznanych, dzikich ostępach zdala od kraju i rodziny — legł cicho ten żołnierz Chrystusowy, by złożyć świadectwo najwyższego pojmowania miłości bliźniego.

Zofja Guzowska.





mieckiej. Przypuśćmy nawet, że w kompozycjach jego niema niczego, coby było czysto francuskiem, ale i wtedy przyznać trzeba, że ciągły kontakt z francuskim duchem i kulturą — skłoniły go do podkreślenia właśnie z wszystkich właściwości słowiańskiego genjuszu tych najbardziej germańskim przeciwnych".

Przeciwstawia Gide Chopina Wagnerowi. „Olbrzymie dzieło Wagnera, właśnie przez tę objętość najbardziej germańskie". Olbrzymiowatość ta — powiada — leży nietylko w nieludzkiej długości każdego dzieła. Polega ona i na lekceważeniu wszelkich granic, w uporze, w piętrzeniu instrumentów, w przemęczaniu głosów i w potwornym patosie".

Chopinowi natomiast chodzi o jak najciaśniejsze wykreślenie granic, ograniczenie środków wypowiedzenia się do najkonieczniejszego minimum. Nie przaładowuje tak — jak Wagner — każdego uczucia nutami.

CHOPIN

Rocznica Chopina daje okazję do różnych refleksyj zarówno biograficznych, jak i artystycznych. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Chopin był genjuszem muzyki i że wyśpiewał w niej duszę polską. Obok niego można jedynie postawić Moniuszkę; który jakkolwiek nie dorównuje Chopinowi w kulturze artystycznej i świetności kompozycyjnej, to może nieraz przewyższa go w bezpośredniości, szczerości i autentyczności elementu polskiego, wyrażonego w muzyce. Nie mniej jednak Chopin był mistrzem niezrównanym w wypowiadaniu fantazji słowiańskiego ducha, jego nostalgji za pięknem i wzniosłością. Wrażliwa wyobraźnia Chopina pod wpływem tęsknoty za krajem, cierpień i choroby rozpalała wspaniałe wizje muzyczne, których urok zaklinał potem w tony.

Chopin, faktem jest powszechnie znanym, zdobył sobie uznanie u wszystkich narodów kulturalnych.

W ostatnim numerze „Querschnittu" opowiada André Gide jak to, jeszcze przed wojną, spędził dobrych kilka dni w klasztorze Benedyktynów w Monte Cassino i, jak w czasie pożegnalnej „audjencji" rozmawiał o Chopinie ze starym tego klasztoru opatem. „I ja grywałem kiedyś na fortepianie" — powiedział staruszek, nawiązując do zamiłowań Gide'a, który przez czas pobytu między zakonnikami zabawiał się przedewszystkiem muzyką. „Teraz jestem już za stary, muszę się zadawalniać odczytywaniem muzyki. Tak jest! Móc odczytywać melodję z nut i słyszeć ją przytem gdzieś w głębiach duszy — to właśnie daje mi najdoskonalszą radość. Ile razy nie mogę wstawać z łóżka, a zdarza mi się to coraz częściej — wtedy zawsze każę przynosić sobie nuty. A wie pan kogo? Nie! Nie Bacha, ani nawet Mozarta. Prawie zawsze Chopina... Bo to jest najbardziej czysta muzyka!"

„Najciekawsze w tem — powiada Gide — jest, że te słowa, (które zrozumieją ci wszyscy, dla których muzyka Chopina nie jest owym olśniewającym, świeckim popisem wirtuozów na estradzie) wypowiedział Niemiec. Bo myślę, że niema chyba muzyki mniej nie-nie-



Żelazowa Wola.

Przeciwnie, każda nuta przepełniona jest u niego uczuciem. Może istnieją więksi muzycy, doskonalszych jednak niema. Można więc porównać twórczość Chopina chociaż z „Fleurs de Mal" Baudelaire'a, a to nietylko przez intensywne skupienie i znaczenie najlepszych kawałków, ale i przez niecodzienny wpływ, jaki właśnie dzięki takim zaletom twórczość obu tych artystów mogła wywierać.

Rocznica śmierci każe nam zwrócić też uwagę na ostatnie chwile życia mistrza muzyki polskiej. Upłynęły one pod znakiem smutku i cierpienia.

„Grajek“, przepracowany, gdyż nie przestawał tworzyć coraz to nowe rzeczy: nokturny, ballady, mazurki, dręczony losem Ojczyzny, począł podupadać na zdrowiu — rozwijała się choroba piersiowa. Zwiedziwszy jeszcze Londyn i inne kraje, a czując zupełny upadek sił, wysłany został na wyspę Majorkę. Przyroda cudna, powietrze balsamiczne, lecz chorego suchotnika nikt nie chciał przyjąć do domu. Klasztor Kartuzów przygarnął biedaka. Stare mury, kurytarze puste, cela podobna do trumny, wywierały niesamowite wrażenie na chorego. Zdawało mu się, iż już nie powróci z Majorki, że tu umrze, i w tym nastroju napisał Chopin „Marsz Pogrzebowy“. Tu też powstał Polonez Triumfalny, A-dur. Wyobraźnia Chopina, opanowana kompozycją, tak była wstrząśnięta przez nią, że kiedy już skończył, tej samej nocy, gdy przegrywał tylko co ukończone dzieło, nagle wydało mu się, że widzi przez otwarte drzwi orszak postaci kontuszowych, i wszystko to przeciągało przed nim, jakby tańcząc w takt jego muzyki. Innym razem wsłuchując się w miarowe spadanie kropli deszczowych, napisał swe rozdzierające Preludjum H-moll. Wogóle bał się samotności klasztornej. Zwidywały mu się duchy pomarłych zakonników i pod tem wrażeniem skomponował pełne tajemniczych i przejmujących odgłosów i jęków — Preludjum Des-Dur.



Żelazowa Wola. Dom, w którym urodził się Chopin.

Stan zdrowia na Majorce nie poprawił się, pomimo to w dalszym ciągu Chopin pracował, tworzył najpiękniejsze dzieła, których tu wyliczyć nie sposób, a gdy po wielu jeszcze podróżach zamieszkał znowu w Paryżu, był już zupełnie wyczerpanym. Zbierając resztki sił zdobył się na napisanie rzewnego Mazurka G-moll, a kiedy napisał drugi w tonie F-moll, już nie miał dość siły, ażeby go przegrać na fortepianie. Jakoż, była to jego ostatnia kompozycja!

Powoli, lecz nieubłaganie chwila tragiczna zbliżała się.

W dniu 16 października, przy łożu umierającego, zgromadziło się grono najbliższych, w tem siostra rodzona; rozpoczęto modlitwy, gdy wszedł do pokoju przyjaciel z lat dziecięcych, ks. Jełowicki z Panem Bogiem. Po spowiedzi i przyjęciu Komunji świętej pożegnał się z najbliższymi, a widząc ich płacz, mówił z anielskim spokojem: „Dobrze mi... że tak umieram... Siostro moja kochana, nie płacz... Nie płaczcie przyjaciele moi... jam szczęśliwy! Módlcie się za mnie. Do widzenia w niebie!“

Tak umierał Chopin!

Ciało spoczęło w wieńcach, kwiatach, jakby w ogrodzie najpiękniejszym. W pogrzebie brał udział cały Paryż arystokratyczny i artystyczny. Ludzie, patrząc na olbrzymi orszak pogrzebowy, nieprzerwany tłum pieszych, nieskończony sznur karet, na dekorację kościoła — pytali naiwnie, czy nie króla jakiego grzebią? Tak! grzebano króla tonów, który w te tony tchnął duszę swoją, a za pomocą ich odtworzył cały charakter swego Narodu: jego zalety i wady, jego cierpienia, rozpacz, radość i triumf.

Na trumnę, gdy opuszczano do dołu wysypano garść ziemi polskiej, tę samą, którą przed 20 laty wyjeżdżającemu z Warszawy Chopinowi dali w srebrnym pucharze, żegnając się z nim przyjaciele.

Lecz serce nie spoczęło na ziemi cudzej: przywieziono je w urnie do Warszawy i wmurowano w ścianę kościoła Św. Krzyża. Było to życzenie samego mistrza, bo choć mu połowę życia wypadło spędzić wśród obcych, to jednak serce jego ani na chwilę nie przestało bić dla kraju, którego był jednym z najprzywiązańszych synów.

Miejmy nadzieję, że wolna Ojczyzna nasza, jako matka czuła, przyjmie do łona swego śmiertelne szczątki genjusza polskiej muzyki na wieczny spoczynek.

ŁZA CIERPIENIA

Łza, to jest cierpienia poemat,
Serce dla niej jest źródłem, życiem każdy temat,
Który w myśli uderzy, jak dzwon, z całej siły,
Choć zapadnie w głębinę, echa będą żyły!...
Będą cicho, jak duchy, za myślą się skradać,
Będą serce z tęsknoty, czy z bólu spowiadać,
Dostaną się powoli aż do dna goryczy,
Sprawdzą skrzętnie, czy człowiek je wszystkie policzy,
Czy świadomie je pojmie wartością cierpienia ..
Wtedy przejdą od niego ku Bogu w promieniach,
Taką drogą szeroką pośród słońca pozłoty,
Taką cząstką maleńką przypomnienia Golgoty,
Drobnym pyłkiem zapłaty za krzyż Jezusowy,
Za ofiarę korony męczeństwa cierniowej,
Taką kroplą maleńką pośród cierpień morza,
Które Bogu za Syna zapadło w przestworzach.
Chodzą, wierzcie, po ziemi srebrzyści anieli.
Każdy ludzi spotkanych na dwie części podzieli,
Tych, co toną w cierpieniu, tych, co cierpieć im każą.
Jednym dają pociechę, drugim myśli rozżarzą,
Rozpłomienią im duszę ciągłych dręczeń pożarem,
Życiu każą iść szybko, szybko czynów zegarem,
Na którym pośród godzin dwunastu połówki,
Spotkają się pionowo dwie życia wskazówki:
Jedna — serce człowieka, druga — jego czyny
I w tej chwili ostatniej, w tej chwili jedynej,
Zrozumie, nawet zbrodniarz, czem w swem życiu zgrzeszył
I już dalej nie pójdzie, bo zbyt się pospieszył,
Zbyt się przecież odchylił od człowieczej drogi
I miast w Bogu zmartwychwstać, piekła ujrzy progi.

Tadeusz Czarnomski.

NARODY SĄSIEDZI

(Z DZIEJÓW STOSUNKÓW POLSKO-UKRAIŃSKICH NA UKRAINIE).

Stosunki polsko-ukraińskie na Rusi naddnieprzańskiej (Ukrainie Prawobrzeżnej) pod rządami carskiej Rosji ułożyły się odmiennie niźli w sąsiedniej Galicji. Naogół były one przyjazne pomimo siania waśni pomiędzy wsią ruską a polskim dworem przez władze państwowe i denuncjatorskiej działalności duchowieństwa prawosławnego, wychowanego w szkole rosyjskiej. Niewiele nawet osiągnęła energiczna agitacja czerńców z Ławry Poczajowskiej, szerząca rasową nienawiść do Polaków i religijną do katolicyzmu.

Stosunki te czekają jeszcze na swego bezstronnego historyka, a zawierają one wiele ciekawych kart.

Błędem jednakże byłoby patrzenie na szereg zjawisk i wydarzeń, rozgrywających się w ubiegłem stuleciu na Ukrainie, oczami dzisiejszego polityka. Świadomość bowiem narodowa Rusinów-Ukraińców dopiero zaczynała się kształtować, z drugiej zaś strony w społeczeństwie polskiem stosunek do Ukrainy przesycony był reminiscencjami historycznemi, nie zawsze chcącemi pogodzić się z inną rzeczywistością.

Pomijając już istniejące w pierwszych dziesięcioleciach 19-go wieku błędne pojmowanie ludu ukraińskiego jako odmiany ludu polskiego (Fr. Dmochowski) — do upadku powstania styczniowego — nie rozumiano u nas wskrzeszenia Rzeczypospolitej bez odzyskania granic 1772 roku. Ruś naddnieprzańska była wciąż integralną częścią „Tej co nie zginęła".

Ze strony polskiej pod wpływem takich pojęć starano się raczej idealizować przeszłość polsko-kozacką, zamykano oczy i uszy na wszelkie przykre i bolesne wspomnienia.

Jednocześnie — o czem nie można zapominać — ta Ruś-Ukraina, przed zamknięciem Liceum krzemienieckiego i zlikwidowaniem szkolnictwa polskiego w tym kraju po powstaniu listopadowem, nie przestawała żyć pod wpływami kultury polskiej. Wbrew dążeniom Rosji — polszczała.

Pod tym kątem widzenia stają się zrozumiali poeci szkoły ukraińskiej poezji polskiej z Bohdanem Zaleskim i Sewerynem Goszczyńskim na czele... Błędne i teatralne jest tło historyczne tej poezji — ale cechuje ją wielkie umiłowanie tej bujnej ziemi ukraińskiej i jej ludu. Zaleski czuł w sobie wręcz bijące w piersi „serce polsko-ukraińskie".

Dziwnemi zaiste są pretensje niektórych historyków ukraińskich, zarzucające poetom tej szkoły — że niedośpiewali swej pieśni do końca, nie stali się Rusinami-Ukraińcami. Było to psychiczną niemożliwością. Zresztą Ukraińcami czuli się oni niewątpliwie ale w takim samym stopniu w jakim Mickiewicz czuł się Litwinem. Ojczyzną Adama była Litwa, ojczyzną Bohdana Ukraina. Obaj byli i musieli być Polakami.

Czynnik ukraiński w poezji polskiej po przez późniejszych poetów L. Sowińskiego i Wysockiego — dotrwał do naszych czasów. Zresztą wogóle w literaturze polskiej pisarze urodzeni na Rusi we wszystkich okresach odgrywali dużą rolę. Z małemi wyjątkami reprezentowali oni w stosunku do Ukraińców szczerą życzliwość. I dziś znani literaci polscy: Jul. Wołoszynowski, Iwaszkiewicz, Ed. Ligocki, a ze starszego pokolenia Ed. Paszkowski i in., nie licząc już publicystów i mniej znanych poetów — są to Polacy z Ukrainy. Nie masz wśród nich wrogów narodu ukraińskiego, są natomiast szczerzy przyjaciele.

Ciekawem zjawiskiem było na Ukrainie w połowie ubiegłego stulecia t. zw. bałagulstwo i chłopomaństwo, manifestujące w każdym razie życzliwość szlachty polskiej dla ludu ukraińskiego. Mniejsza już o akcesorja tych zjawisk.

Przerywają się te ostatnie objawy po roku 1863, który był tragicznym nietylko dla samych Polaków na Ukrainie. Walki ideowe wśród młodzieży na uniwersytecie kijowskim doprowadziły na tle stosunku do powstania do rozłamu. Z tego rozłamu wywodzi się Włodzimierz Antonowicz, głośny później historyk, stojący po stronie Rosji, zrywający z polskością i katolicyzmem i Tadeusz Rylski, który wprawdzie nie wyparł się wiary katolickiej, ale zerwał z Polakami i włożył chłopską, ruską sukmanę i do końca życia żył z ludem ukraińskim.

Jaki zaś duch ożywiał przeciwników Antonowicza i Rylskiego — świadczy o tem słynna odezwa kijowska — do Ukraińców — zwana „Złotą hramotą", oraz fakt, że powstańcy napadnięci przez włościan ukraińskich, podburzonych przeciw „panom" — pozwolili się na Polesiu Kijowskiem bez oporu mordować, nie podnosząc broni przeciw „swojemu ludowi". Fakt ten wiele mówi. Cechuje on cały stosunek romantyzmu polskiego do Ukraińców.

Po powstaniu styczniowem polskość na Rusi objawiać się mogła jedynie w przedsiębiorczości gospodarczej, utrudnianej zresztą brakiem samorządu i przeszkodami administracyjnemi.

Ruch ukraiński zwycięska Moskwa tłumiła z całą bezwzględnością. Rozporządzenie z 1876 roku zakazało sprowadzania z zagranicy książek ukraińskich i drukowanie w granicach Rosji wszelkich dzieł w tymże języku, prócz literatury pięknej i dokumentów historycznych, przyczem wzbroniono także posługiwania się pisownią fonetyczną. Przedstawienia ukraińskie, odczyty i teksty do nut również znalazły się na indeksie.

„Języka ukraińskiego nie było, niema, i być nie może" — twierdził minister Aleksandra II.

Poza pewnemi ustępstwami w zakresie widowisk ukraińskich ten stan rzeczy trwał aż do roku 1905.

Ukrainizm tolerowany więc był conajwyżej jako folklor — polskość nie mogła wychylać się poza obręb kościoła i domu polskiego.

Zapanowała na Ukrainie cisza złowieszcza; położenie określone przez poetę ukraińskiego: „Na wsich jazykach wse mowczyt".

Ciszę tę przerywa pod koniec stulecia fakt drobny, który jednak wywołał wielkie wrażenie. Oto z powodu odsłonięcia pomnika Mickiewicza w Warszawie, Kijowskie Tow. Literacko-Artystyczne — wyraziło sympatje dla narodu polskiego. Stało się to z inicjatywy Ukraińców (Starickyj i in.).

Po roku 1905 w Kijowie ukazuje się prasa polska, pracuje teatr polski, jawne i tajne polskie szkolnictwo.

Organizują się również Ukraińcy, główny nacisk kładąc na ruch spółdzielczy.

Niestety, pomiędzy obydwoma społeczeństwami niema łączności, gdyż inteligencja ukraińska przeważnie hołduje hasłom eserowskim „wywłaszczenia bez odszkodowania" majątków ziemskich, w większości znajdujących się jeszcze w ręku polskiem.

Mimo fermentu w kraju, a nawet prowokacyjnych prób ze strony administracji, nie doszło wówczas do poważniejszych wykroczeń na tle kwestji rolnej, jak to było w innych częściach państwa, co świadczyło o lepszych stosunkach na wsi ukraińskiej.

Gdy nastąpiło uspokojenie — społeczeństwo polskie na Ukrainie przy różnych sposobnościach starało się okazać, że sprzyja ukraińskim dążeniom emancypacyjnym. Były nawet próby współpracy polskiej na terenie ściśle ukraińskim.

Na Podolu jeden z ziemian, p. Joachim Wołoszynowski (ojciec powieściopisarza), zaczął redagować i wydawać w Mohylowie tygodnik ukraiński „Świtowa Zionycia", przeznaczony dla ludu. Pismo to, głoszące zasady rozumnego postępu, głównie popierało spółdzielczość i znalazło chętnych odbiorców. W kołach ukraińskich nazywano je żartobliwie „polską intrygą", ale nie zwalczano. Istniało ono przez lat kilka, i zostało zawieszone po wyjeździe p. Wołoszynowskiego na stałe do Kijowa (1911).

Drugą próbą o znacznie szerszej koncepcji było założenie w Kijowie w 1909 roku przez ś. p. Wacława Lipińskiego dwutygodnika „Przegląd Krajowy", który istniał od kwietnia do końca 1909 roku.

Wacław Lipiński, z wykształcenia historyk, wychowaniec Uniwersytetu Jagiellońskiego, syn ziemianina z powiatu łuckiego, był osobistością niepospolitą.

Ród jego należał do szlachty polskiej tatarskiego pochodzenia (Lipkowie). Wacław, wzorem Rylskiego, uznał się narodowo za Ukraińca, sam jeden z całej rodziny. Zachował jednak obyczaj polski, pozostał katolikiem i nawet ożenił się z Polką. Zachwycał się ideą jagiellońską i potępiał waśń polsko-ruską. Sądził, że w przyszłości wyzwolone i niepodległe narody polski i ukraiński działać będą ręka w rękę, gdyż zmusi ich do tego niebezpieczeństwo rosyjskie.

Pragnął gorąco pracować dla ludu ukraińskiego, wśród którego wyrósł. Z zapałem studjował dzieje Rusi. Przed założeniem „Przeglądu" wydał broszurę „Szachta polska na Ukrainie" (Kraków 1907), w której przypominał tej szlachcie, że większość jej jest pochodzenia ruskiego i że zachowując swój obecny charakter polski — lecz będąc krwią związana ze swoim ludem, winna mu dopomóc do odrodzenia narodowego. Przypuszczał, że tylko nieliczne jednostki z tej szlachty przyznają się z czasem do narodowości ukraińskiej, ale twierdził, że Polacy na Rusi (Ukrainie) mogą łatwo odegrać rolę Szwedów w Finlandji i, mając zapewnioną autonomję kulturalną, być państwowcami ukraińskimi.

Były to czasy — gdy na Rusi i Litwie wśród pewnych kół ziemiaństwa polskiego występowali zwolennicy t. zw. „krajowości" czy „tutejszości". Ale była to idea mocno niewyraźna, oparta właściwie na ugodowości, na liczeniu się z trwałą, jak się wydawało, potęgą Rosji. „Krajowcy" nie mieli więc w społeczeństwie uznania i popularności.

Najsilniejszym zaś prądem wśród Polaków na Rusi była idea narodowa, głoszona przez obóz R. Dmowskiego. Narodowcy ci jednak, nie wierząc może w ruch ukraiński, nie przeciwstawiali się mu nigdy. O rychłym upadku caratu i wyłaniających się z tego konsekwencjach nikt nie myślał poważnie. Wydawało się to sprawą daleką.

W tych warunkach, Lipiński, przy poparciu niektórych ziemian, skupił niewielkie grono piszącej młodzieży polskiej i zaczął wydawać „Przegląd Krajowy".

Więzy cenzuralne nie pozwoliły oczywiście na całkowite sprecyzowanie programu. Ale sama idea była jasna. Była to deklaracja uznania państwowości ukraińskiej nad Dnieprem, chęć współpracy z inteligencją ukraińską — w zamian za poszanowanie praw narodowych Polaków na Ukrainie przez Ukraińców.

Dziś, gdy granice Rzeczpospolitej ogarnęły tylko Wołyń zachodni, Podole zaś i Kijowszczyzna pozostały za kordonem w rękach bolszewików — idea „Przeglądu Krajowego" — inaczej wygląda, niźli wydawała się w 1909 r. Lecz gdyby nawet została zrealizowana w sensie współpracy polskiej — nie starczyłoby już czasu na takie urabianie gruntu — by bolszewizm nie mógł się zadomowić na Ukrainie.

W społeczeństwie polskiem obserwowano „Przegląd" z zainteresowaniem, nie zwalczano go, czekano jaki odruch wywoła wśród Ukraińców.

Inteligencja zaś ukraińska przyjęła go życzliwie, zwłaszcza osobistości starsze i doświadczeńsze, nieufnie patrzący na radykalizm młodzieży. Wśród Ukraińców starszego pokolenia nie brakło nigdy zresztą szczerych naszych przyjaciół.

Zapewne idei propagowanej przez W. Lipińskiego stawały na przeszkodzie stosunki polsko-ukraińskie w Galicji — a także zarysowywać się zaczynała kwestja „Ukraińców-katolików", to jest ludu mówiącego po rusku, Polacy bowiem lud ten uważali za zrutenizowanych Mazurów, co w większości wypadków zgadzało się z rzeczywistością.

W piśmie Lipińskiego brali udział i niektórzy pisarze ukraińscy np. Bohdan Łepnij (z Galicji), S. Jefremow i inni.

Nakład „Przeglądu" sięgał tysiąca egzemplarzy, co w tamtejszych warunkach było cyfrą poważną. Wymagało jednak wydawnictwo znacznych kosztów. Popierała go oprócz grupy ziemian i część inteligencji polskiej, zatrudnionej w przemyśle cukrowniczym t. zw. „postępowcy". Nie było to jednak poparcie wystarczające na dłuższą metę. „Przegląd" więc przestał wychodzić.

Nieścisłem jest zdanie o „Przeglądzie Krajowym" historyka literatury ukraińskiej, prof. Sergjusza Jefremowa, który w książce swej „Istorja Ukraińskoho Pismenstwa" (Kijów 1917) nazwał „Przegląd" organem młodego ruchu „Ukraińców kultury polskiej". Takim Ukraińcem był w redakcji tego pisma właściwie tylko Lipiński. Pozostali autorzy artykułów, Polacy, uważali siebie za Ukraińców, ale w regjonalnem polskiem pojmowaniu, uznając wszakże prawa narodu ukraińskiego na Rusi do własnej państwowości i pragnąc z nim współpracować.

Wacław Lipiński po zawieszeniu „Przeglądu" wyjechał do Krakowa, poświęcając się badaniom dziejów Kozaczyzny. W okresie wojny światowej — za hetmana Skoropadzkiego współpracował ze stronnictwem rolników (chliborobów) i był posłem ukraińskim w Wiedniu. Po upadku hetmana pozostał w Austrji i wydawał tam czasopismo „Ukraina". W latach późniejszych poróżnił się ze Skoropadzkim — zdaje się — na tle jego stosunku do Rosji.

Umarł na gruźlicę w 1931 roku. Zwłoki jego przywiezione zostały przez rodzinę do Polski na Wołyń.

W okresie rewolucji rosyjskiej naczelny organ ziemiaństwa polskiego w Kijowie „Dziennik Kijowski", popierał dążenia ukraińskie do niepodległości. Oczywiście przeciwstawiał się ostro uniwersałom Centralnej Rady Ukraińskiej, proklamującej wywłaszczenie bez odszkodowania. Wskutek tych uniwersałów i agitacji bolszewickiej — dwory polskie na Ukrainie przeważnie poszły z dymem. Rabunek i ogień zniszczyły nieocenione skarby kultury i zabytki przeszłości, przechowywane w siedzibach szlacheckich.

(Dok. na str. 235).

JÓZEF ST. CZARNECKI.

KORONACJA

Dziwnie radosna zerwała się dziś królowa ze swej łożnicy. Nucąc z cicha, podeszła ku oknu, by spojrzeć na miasto, nad którem wystrzelały nierówne wieżyce marjackie. Po chwili pobiegła ku przeciwległemu oknu, skąd rozciągał się widok na błonia, tonące w słońcu, co znów łaskawie rozsnuło swe jesienne blaski, zlekka tylko przymglone.

— Pięknie jest dziś, pięknie! — szepnęła do siebie.

— Królowa dziś się raduje — pyta Elżbieta, piastunka, wchodząc do komnaty.

— Radam Bogu i ludziom. Przecież wielka chwila mnie dziś czeka.

— Koronacja!

— A ino. Trza zacząć się już stroić.

— Toć czas mamy — miarkuje piastunka. Ale gdzietam mówić takie rzeczy porywczej dzieweczce. Ciekawość pomieszana z lekkim niepokojem spędziły jej jeszcze przed świtem sen z oczu. Niecierpliwi się więc, chciałaby zacząć całą ceremonję. Ogląda już siebie w płaszczu królewskim, z koroną na głowie, sceptrem w ręku, słyszy pienia kościelne, usta jej niemal szepcą rotę przysięgi.

— To będzie wspaniałe! — wykrzykuje znagła ku zdumieniu piastunki, niezdolnej do tak żywych poruszeń wyobraźni, — wspaniałe, wspaniałe, — porywa w objęcia Elżbietę, całuje ją i okręca dokoła siebie.

— Pani moja, co się z tobą dzieje? — woła Elżbieta, porwana jednak zapałem Jadwigi, uśmiecha się a wzruszenie wyciska jej łzę z oczu.

— Szczęśliwam, szczęśliwam — odpowiada królowa, jakaś siła wewnętrzna, radość niepohamowana domaga się, by ją głośno wypowiedzieć, by dać jej nazwę. Och, gdyby on tu był — szepce do siebie — myśl ta przelotnie zachmurza pogodne czoło królowej. Przecież to tylko sprawa czasu, a jej ukochany Wilhelm będzie dzielił z nią wszystko to szczęście i triumf królowania — marzy Jadwiga, ani przeczuwając, że to marzenie pozostanie nigdy nieziszczonym snem.

Tymczasem weszły do izby dwórki, by pomóc pani w ubieraniu. Wdziewa więc Jadwiga powłóczystą błękitną suknię, zlekka wciętą w pasie, haftowaną suto perłami, na to kapłańską albę, tunikę i dalmatykę. Lecz niedość tego wszystkiego. Na ramiona kładą jej jeszcze ogromny i ciężki szkarłatny płaszcz królewski, oblamowany gronostajami.

Tak strojna, wystąpiła Jadwiga do zebranych na sali dygnitarzy kościelnych i dostojników koronnych oraz rycerstwa i dworu.

Arcybiskup gnieźnieński Bodzanta w asyście legata papieskiego, kardynała Dymitra, biskupa Czanadzkiego Jana, oraz „małego“ biskupa krakowskiego, Radlicy, odmówił stosowne modlitwy, pokropił święconą wodą królowę i obecnych. Natychmiast rozwinęła się uroczysta procesja do katedry. Otwierali ją dostojnicy, za nimi duchowieństwo. Dalej postępowali dygnitarze koronni, kasztelan krakowski niósł koronę na wzorzystej poduszce, wojewoda krakowski berło.

Pod baldachimem kroczyła majestatycznie, z jasnym uśmiechem na ustach Jadwiga. Na jakiejże palecie znaleźć barwy dla odmalowania piękna i uroku jej postaci, wdzięku z jakim pochylała głowę, rozdając uśmiechy na prawo i lewo zgromadzonym tłumom, tej harmonji ruchów, która świadczyła o jej fizycznej dorodności a także kulturze duchowej, a wreszcie owego nieziemskiego wprost blasku dobroci, rozlanej na całem obliczu, nasyconem radością, promieniejącą dokoła.

Szmer podziwu i wzruszenia, który poruszał zebrane tłumy był najwymowniejszym hołdem wobec majestatu królowej, piękności kobiety i dobroci anioła. I tak szła Jadwiga, krokiem powiewnym, jakby nie czując ciężaru purpury, płynąc nieomal pośród onego morza głów, pochylonych czołobitnie, w blaskach tysięcy oczu rozmodlonych uwielbieniem i radością, że oto takie nadziemskie piękno przygodziło im się oglądać.

Zaiste dobrotliwy Bóg w oną chwilę błogosławił ziemi i narodowi polskiemu na jego teraźniejszość i przyszłość.

— A zali królom niebo się nie uśmiecha? — rzekł ktoś w tłumie, mieszając w tych słowach podziw i zazdrość zarazem.

To prawda, niebo uśmiechało się w tej chwili Jadwidze. Ale z tego nieba dziś jeszcze paść miał grom.

Tymczasem jednak nic nie mąciło uroczystego nastroju, który miał się spotęgować do zenitu, w chwili, gdy Jadwiga, wstawszy z klęczek, przystąpiła do ołtarza, by złożyć przysięgę Bogu i narodowi.

— Ja, Jadwiga, jako król polski, ślubuję zachować wszystkie prawa, przywileje i swobody narodu — powtarza Jadwiga rotę przysięgi i samorzutnie dodaje — a także dobro jego pomnażać. Tak mi dopomóż Bóg i niewinna męka Jego. — Na chwilę zastanowiła się: wspomnienie męki Pańskiej zdawało jej się znów przypominać i wskazywać, że każda korona ma też swoje ciernie.

Lecz nie miała czasu na głębsze refleksje, po przysiędze począł się obrzęd koronacyjny.

Arcybiskup zaczął ją namaszczać, odmawiając stosowne modły, a potem włożył na jej pochyloną głowę koronę królewską.

Kościół cały zatrząsł się od okrzyków na cześć królowej, zagrały trąby i fletnie. Z wieżyc kościelnych ozwały się dzwony, zwiastując miastu, krajowi, ziemi i niebu wielką, triumfalną nowinę.

Jadwiga uwieńczona powstała i skierowała się ku tronowi. Nad jej czołem paliła się blaskiem drogocennych kamieni korona. Wystrzelały z niej dokoła lilje rozkwitłe, naprzemian dłuższe i krótsze, otaczając główkę królowej białem kołem niby aureolą. Z pod korony spływały długie różnobarwne wstęgi, otulając głowę płaszczem tęczowym i spadając na ramiona deszczem czy zawieruchą kolorów, pomieszane z jasnemi pasmami włosów.

Gdy królowa zasiadła na tronie, stanęło za nią dwu rycerzy i zlekka unieśli koronę, by jej ciężar zbytnio nie ugniatał dziewczęcego czoła.

Jadwiga była skupiona i cicha, przez głowę jej przepływał wartki potok myśli: — Więc to już nieodwołalne. Ślubowałam przed Bogiem i nic już nie zdoła zdjąć ze mnie ciężaru tej przysięgi, chyba śmierć jedna.

Lecz myśl ta zaznaczyła się ledwie cieniem wśród bystrej fali innych, pełnych radosnego roztkliwienia, przedziwnej błogości, w której splatały się sprawy Boże i ludzkie, fakty i nadzieje, widok wreszcie tej katedry jarzącej się światłami, barwiącej doborowem towarzystwem panów i rycerzy, niewiast i dziewic, co najprzedniejszych w kraju. W tym tłumie oczy Jadwigi mimowoli szukały najdroższych sobie, niestety, nie było tam ani matki, ani siostry, ani jego, — umiłowanego Wilhelma.

I to jednak nie zdołało zamącić jasnego toku wrażeń i przeżyć, któremi ten szczęśliwy dzień obsypywał od rana królewskie dziecię. Conajwyżej w tej wielkiej muzyce radości zadrgał nowy pogłębiający ją ton tęsknoty. W tem oszołomieniu zacierały się twarde zarysy rzeczywistości, Jadwiga nie była pewna czy to jawa czy sen, czy za chwilę nie rozwieje się wszystko, jak w bladych rozświtach rozpływają się zjawy nocne i te straszne i te ponętne i pocieszające. Zdało jej się przez chwilę, że klęczy na przedprożu niebios. Niewypowiedziane roztkliwienie przyśpieszało, to znów ściszało rytm jej serca. Nadeszła chwila Komunji św. Z wielkim wysiłkiem, nieswoja, przejęta, zeszła znów do stopni ołtarza, klękła i rozmodlone oczy, w których wypowiadał się zachwyt, wzruszenie, bojaźń i szczęście podniosła ku białemu opłatkowi Hostji, co całą prześwietloną słońcem, jakby pulsującą krwią eucharystyczną podawały jej ręce kapłana.

Wraz z Chrystusem weszła moc w Jadwigę. Po chwili skupienia i ekstazy, co zabarwiła płatki jej różanych policzków obłokiem wzruszenia, wyprostowała się, dzielna i dumna. Odezwała się w niej krew Kazimierza Wielkiego i ojca Ludwika, wspaniała i wielmożna. Służebnica Pańska była przecież królową, zdolną bez uchyby dźwigać zaszczytny majestat purpury.

Wstała i pewnym krokiem, z głową wzniesioną, piękna jak zjawisko z innego lepszego, wyższego świata kroczyła ku tronowi, odprowadzona spojrzeniami tysięcy oczu rozmodlonych i pełnych podziwu. Szła wyniosła i niepodległa, królewska choć bez korony, szmer zachwytów słał jej się kobiercem pod nogi.

— O pani nasza, Jadwigo — szeptały jakieś usta roztkliwione.

— Piękna, królewska i święta — szepnął Zawisza do Spytka, który utkwił gdzieś wzrok bez pamięci, w odpowiedzi zdobywając się ledwie na przytakujące skinienie głowy.

Cały kościół był pod niepojętym czarem tej jasnej postaci, co zda się spłynęła znagła na ziemię i za chwilę odleci do swej doskonalszej, niż ziemska ojczyzny.

Wreszcie skończyło się nabożeństwo. Znów uformował się pochód, aby odprowadzić Jadwigę na zamek. Pośród niemilknących owacyj szła majestatyczna, skupiając na sobie wzrok wszystkiego ludu.

— Nasza królowa niech żyje!

— Słońce nasze! Piękna jak anioł! — rwały się w niebo okrzyki, słowa zachwytu i błogosławieństw:

— Niech Bóg ci da wszystko najlepsze!

(Dok. artykułu „Narody sąsiedzi.)

Po krótkotrwałych rządach hetmańskich — przyszła nowa fala zniszczenia, pozostawiając po sobie tylko ruiny i zgliszcza.

A jednak i w tych warunkach „Dziennik Kijowski", redagowany wówczas przez Joachima Wołoszynowskiego stał na stanowisku państwowości ukraińskiej nad Dnieprem i nie przestawał nawoływać Ukraińców, opętanych przez teorje lewicowe, do opamiętania.

Rok 1920 — widział wojska polskie w Kijowie. I to trzeba podkreślić, że ludność ukraińska w stosunku do tych wojsk nastrojona była naogół przychylnie, nie występując przeciwko nim wrogo, chociaż miała dość ukrytej broni... Spodziewano się, że Polska ustali tu porządek.

Dziś z oddali kilkunastu lat — stwierdzić można, że pomiędzy społeczeństwem polskiem na Ukrainie i Ukraińcami nie istniały antagonizmy rasowe i religijne — mógł tu występować tylko antagonizm klasowy, ekonomiczny, pomiędzy warstwą ziemiańską i ludem. Nie przyszłoby jednak do katastrofy 1917—1920 roku, gdyby Rosja celowo nie zaniedbała kraju pod względem oświatowo-kulturalnym i nie przygotowała gruntu do posiewu bolszewizmu, który w ostatecznym rachunku dał Ukrainie nie wyzwolenie, lecz niewolę gorszą niż była, nie bogactwo, lecz nędzę i powrót do pańszczyzny państwowej pod nazwą pracy dla gospodarstw sowieckich i komun rolniczych.

Lecz wszystko na świecie jest przemijające...

J. R—wicz.

(Dok. art. Ukraina i Polska).

Poglądy te, niezawsze zapewne miłe dla polskiego ucha przytaczamy właśnie dlatego, by opinja polska zapoznała się z nastawieniem historyków ukraińskich.

Znajdujemy z drugiej strony i wśród historyków ukraińskich takich, jak Kulisz, który krytycznie i wręcz niepochlebnie oświetlają postać Chmielnickiego.

Trzeba zresztą stwierdzić, że byli wśród historyków polskich także „idealizatorzy" kozaczyzny i roli Chmielnickiego — „ukraińskiego Cromwella", o wiele wyższego od angielskiego wzoru. Do nich należy Ludwik Kubala.

Oczywiście nie we wszystkiem można podzielać ich zdanie. Przeceniają oni niewątpliwie organizacyjną siłę narodu ukraińskiego, jego zdolność stworzenia państwa. Gdyby, ją w należytym stopniu posiadał, dawno już stworzyłby państwo, pomimo całej swej tragicznej sytuacji kresowej.

Również musimy wyrazić poważne zastrzeżenie co do krytyki polityki polskiej: — oczywiście była ona może nieraz niesprawiedliwa, traktowaliśmy Ruś może jako czynnik drugiego rzędu, mimo to jednak wprowadziliśmy tam kulturę i ład, a przez to wzmagaliśmy siły ziem ruskich, i to sposobami wcale nie terrorystycznemi, skoro obserwujemy okresy dobrowolnego polszczenia się, jeden już nawet po rozbiorach. Cóż może być bardziej przekonywujące?

J. Czarnecki.

WOJNA

Wojna współczesna wskutek udoskonaleń technicznych, któremi się posługuje wyjałowiona jest z wszelkiego elementu osobistego heroizmu. Dzieje się tak, że można miesiącami całemi tkwić w okopach, nie widząc nieprzyjaciela. Ostrzeliwanie pozycji, to prawie rzucanie grochu o ścianę.

Aż przychodzi moment ataku, w którym mają się ludzie zetknąć oko w oko. Najczęściej jednak i to odbywa się w warunkach, które nie mają nic wspólnego z zasadami dawnej rycerskiej walki.

Do linji nieprzyjacielskiej docierają szeregi dobrze przerzedzone i zmaltretowane ogniem artyleryjskim.

Właściwa walka wręcz odbywa się często w ciasnych okopach, gdzie ludzie jak głodne szczury duszą się i tłamszą wzajemnie.

Niema to nic wspólnego z zasadami pojedynku rycerskiego, który znały dawne pola bitew i który nie był pozbawiony przecież pewnych elementów estetycznych i etycznych.

W takiem starciu wręcz wydobywa się przytem na jaw cała potworna groza mordowania człowieka przez człowieka. Z takiej tylko atmosfery może się zrodzić dramat sumienia, jak zrodził się dramat Pawła, który całą ohydę wojny poznał dopiero po fakcie zabicia przez się człowieka w ataku na bagnety; przytem okazało się, że ofiarą jest artysta-muzyk, a więc dusza pokrewna Pawłowi, co ostatecznie dopełniło miary goryczy i wewnętrznej odrazy bohatera dramatu.

Z bezsensownego mechanizmu wojny współczesnej wyłonił się dramat indywidualny, który dlatego jest w stanie zapalić naszą wyobraźnię świętem oburzeniem przeciw wojnom i ich podłościom.

Rostand trafnie pojął i ujął kwestję, załamując obraz wojny w indywidualnem sumieniu, wznawiając dawny konflikt rycerskiego honoru. Trzeba przyznać, że dawniej walki miały bardziej godny obyczaj i poziom.

Aby pokonać wroga niekoniecznie trzeba było go zabijać.

Dzisiaj zabija się wroga nie widząc go nawet. Rostand podkreśla to w spowiedzi Pawła, który mówi z przerażeniem o tym strasznym bezosobowym sposobie zabijania się.

Nie mam zamiaru ani przez chwilę apoteozowania tradycji rycerskiej i przeciwstawiania jej obecnej zmechanizowanej wojnie. Nie idzie mi o te jak ktoś powiedział nerwowe reakcje na rodzaj śmierci wojennej, chodzi mi o zasadniczy wstrząs sumienia wobec faktu mordowania się wzajemnego.

Proceder wojenny, oparty o skomplikowaną technikę, grozi przerwaniem kontaktu między sumieniem a pewną kategorją faktów. Jest zasługą Rostanda, że nam ten kontakt pokazał.

Bo co tu mówić rycerskie tradycje i generacje degrengolują. Gotfryd de Bouillon był uczestnikiem wypraw krzyżowych. Jeden z potomków Bouillonów w XVII w. wymyślił już tylko dworskie bale, inny w wieku XIX ekstrakt rosołu zwany buljonem. Jak widzimy spadek napięcia zainteresowań żołnierskich charakterystyczny. Tylko wojna trwa niezmiennie i nawet zaostrzyło się jej okrucieństwo.

Bo też wojna z wojną może się odbyć tylko w jeden sposób nie przez rozbrojenie a przez uzbrojenie moralne jej przeciwników, przez ich heroizm nietylko równy, ale przewyższający heroizm żołnierza. Boć przecież wojna jest czemś przejściowem, a pokój ma być wieczny.

Dlatego też skala heroizmu wymagana dla utrzymania pokoju jest o wiele rozleglejsza. Heroizm ten wymaga o wiele doskonalszego wyrobienia moralnego i wrażliwości sumienia, gdyż zakres, który obejmuje jest rozleglejszy i bardziej skomplikowany. Mimo wszystko wojna, to jest sprawa dość prosta: atakować, strzelać, trafiać i zabijać. Przedewszystkiem zaś niszczyć wroga na każdym kroku. Otóż wiadome jest, że niszczyć jest naogół łatwiej niż budować. Tymczasem pokój oznacza właśnie budowanie.

Byłoby rzeczą niewłaściwą ujmować zjawisko wojny jednostronnie: gloryfikatorsko czy odwrotnie potępiająco. Każda rzecz w psychice ludzkiej budzi zawsze krańcowo różne reakcje: aprobaty i dezaprobaty, entuzjazmu i niechęci. Człowiek głodny chce jeść, człowiek syty nabiera wstrętu do jedzenia. Naród skrzywdzony oczekuje wojny jak wybawienia, modli się słowami swych największych poetów o wojnę ludów. Naród zwycięski — chwali pokój.

Rostand senjor opiewał wspaniałego Cyrana, zapalał siebie i naród do romantyzmu rycerskiego, rzecz zrozumiała po r. 1871, Rostand junior — po wojnie, po wojnie zwycięskiej, pozwala sobie na luksus wspaniałomyślności względem Niemców i opłakiwania strat moralnych jakie ludzkość poniosła na pobojowiskach. Cyrano został zdemobilizowany, szara rzeczywistość wyskubała mu wszystkie pióra z szyszaka, poczyna on odczuwać jakieś nieznane dotąd żołnierzowi skrupuły sumienia i nieomal tęsknić za tą cegłą pospolitości, która przecięła żywot autentycznej prapostaci Cyrana.

Po szczytach napięcia bohaterskiego następuje naturalna depresja i zniechęcenie.

W tych warunkach nie będzie rzeczą trudną zrozumienie tej przychylnej reakcji jaką budzi literatura pacyfistyczna Remarqn'ów czy Rostandów; 50 proc. zachwytów nią należy zapisać na konto faktu, że przeżyliśmy wojnę, której groza i okrucieństwo przewyższyło wszystko dotychczas znane.

Pewna degrengoloda aspiracji i napięcia ideowego jest tu rzeczą naturalną.

Kiedy jednak w obecnej atmosferze pacyfizmu zastanawiamy się nad wojną, nie należy poprzestać na tych przesłankach, które ta atmosfera nam nasuwa.

Nie wolno zlekceważyć faktu, że wojna może budzić także entuzjazm, że istnieć może i istniała psychoza wojenna. Jej źródła są bardzo wysokiej próby. Być może ktoś będzie szczebiotać o kapitalistach, którzy wojnę wywołali, albo o intrygach dyplomatycznych. Jest w tem zapewne jakieś odbicie prawdy. Ale nie wystarczy ona, by wytłumaczyć nam modlitwy błagalne o wojnę ludów, by uzasadnić heroizm spartanek (robię umyślną antycypację), które mówiły do swych synów „wracaj z tarczą, albo na tarczy".

Znam wypadek, że w polskich i katolickich rodzinach modlono się o zwycięstwo dla Niemiec i Turcji, gdyż według wiary tych ludzi ich zwycięstwo miało oznaczać koniec niewoli Polski. W modlitwach tych aprobowano

wojnę, jako palec Boży, który wyrównuje krzywdy dziejowe. I to zaufanie do wojny, jako narzędzia sprawiedliwości posuwało się tak daleko, że potomkowie dawnych bohaterów antemurale christianitatis modlili się do chrześcijańskiego Boga o zwycięstwo dla pogańskiej Turcji.

Oczywiście to, co mówię jest stwarzaniem mitu o wojnie, jej apoteozą. Nie moja wina, że mit taki istnieje, że rozwijał się i kwitł przez całe wieki i tysiąclecia.

W wojnie mitotwórcza fantazja ludzkości dopatrywała się czegoś losowego. Wojna była czemś w rodzaju filji Sądu Ostatecznego, na którym ma być wymierzona absolutna sprawiedliwość.

Ja osobiście jestem za gruntownem zrewidowaniem mitologji wojennej, aby przez to poczęści choć skompromitować wojnę i uczynić ją niemożliwą. Być może, że w obecnych warunkach, w epoce kwitnących militaryzmów i nacjonalizmów, to przeświadczenie jest złudzeniem świętej naiwności. Uważam jednak, że w społeczeństwie, które żyje samą trzeźwością, funkcją publicystyki jest hodowanie „naiwności", która z przesadną gorliwością rewiduje wszystkie zasady i bogi systemu ustabilizowanego.

Swego rodzaju próbą rewizji jest tak zwana literatura pacyfistyczna. Odróżniamy w niej nastawienie patetyczne, w rodzaju „Człowieka, którego zabiłem" i ironiczne w rodzaju Szwejka lub Shawa „Majora Barbary" czy filmów „Chaplin na wojnie" lub „Buster na froncie".

Osobiste me przekonanie każe mi raczej upatrywać w humorystycznem podejściu do wojny większą siłę przekonywującą.

Wojnę trzeba ośmieszyć, podobnie jak w „Weselu figara" ośmieszono wady arystokracji, a niewątpliwie odarta z nimbu i mitu przestanie w znacznej części być groźna.

Przedewszystkiem jednak należy zdemaskować jej rzekomo losowy charakter. Trzeba odkryć wszystkie ukryte sprężyny wojny, pokazać całą groteskę jej aparatu, całą śmieszność tej wzniosłej celebry, jaka ją otacza.

Nie neguję zresztą wartości i znaczenia patetycznych ataków na wojnę, w rodzaju „Sierżanta Griszy" Zweiga czy choćby „Człowieka, którego zabiłem".

Niewątpliwie jest rzeczą dobrą wykazać, że gloryfikacja wojny rodzi gorzki chleb kłamstwa, że wojna stwarza tragiczne konflikty bez wyjścia. Wydaje mi się jednak, że wojnę trzeba przedewszystkiem ośmieszyć.

Robi to w bardzo złośliwy sposób Shaw w „Majorze Barbara", gdzie pokazuje z przekorną satysfakcją jak w cieniu wielkiej fabryki wojennej wyrasta ciepły humanitaryzm.

Bo co tu dużo mówić wojnie, jak to zresztą wyżej już wskazywaliśmy, przypisują niektórzy pewne walory humanitarne (wyrównywanie krzywd politycznych: wojna stwarza także dyscyplinę solidaryzmu społecznego).

Ta strona zagadnienia wojny musi być zwłaszcza mocno prześwietlona.

Dalszym posunięciem w kierunku rewizjonizmu antywojennego są groteski filmowe Chaplina czy Keatona.

Chaplin pokazuje nam jak wojna mobilizuje ludzi, armaty i pasożyty.



Fot. Emha. **1933**

Jest rzeczą ogromnie charakterystyczną, że nieuniknionym towarzyszem nędzy i wojny — jest wesz. Ten ośmionóg jest ogromnie „wojowniczy".

Wogóle można zauważyć, że im więcej kończyn ma stworzenie, tembardziej jest krwiożercze i pasożytnicze, i tem słabszą jest reakcja nerwowa na niebezpieczeństwo i grozę śmierci.

Dwunożny człowiek nie reaguje zresztą ani jednakowo, ani bardzo wzniośle na śmiertelną grozę wojny. Mój Boże, czegóż tu żądać od człowieka, skoro nawet między aniołami doszło ongiś do wojny, z powodu jakby to powiedzieć nierówności klasowej.

P. Skiwski powiedział w swym artykule, że konsekwentnym pacyfistą może być tylko jarosz. Przejęcie się zasadą „nie zabijaj" nie może znać żadnych luk. Kto nie jest zdolny do zabicia zwierzęcia, ten nie zabije człowieka.

Wydawałoby się więc, że największymi militarystami powinni być rzeźnicy.

Kto wie? Zdarzyło się w XIV wieku, że Rostock, miasto wendyjskie zostało uwolnione z pod panowania brandenburczyków. Prawy jego dziedzic chciał podwyższyć kilku mieszczan do stanu rycerskiego. Odmówili, tłumacząc się, że żołnierz musi walczyć, a więc i ginąć. Wzamian proszą jednak o przywilej. Jaki? Chodzi im o to, by cechowanie świń odbywało się inaczej. Dotychczas smolono nierogaciźnie ogony. A każdy wie, jak niesmaczny jest smolony ogon w gotowaniu.

Jak widzimy filozofja rzeźnika nie jest bynajmniej filozofją żołnierza. Bydłobójca może być więc zaprzysięgłym pacyfistą. Istota rzeczy nie na tem polega. Jestem przekonany, że najbardziej krwiożerczy są ci, którym nie przeszkadzają na wojnie pasożyty. Chaplin idący na wojnę z przyrządami przeciw wszom jest właściwie przykładem żołnierza przez nieporozumienie. Nie można się zachwycać wojną, jeśli tępi się zawzięcie gryzące i swędzące insekty.

Walka z psychozą wojenną to jest m. in. walka z tępotą nerwową. To jest budzenie wyrafinowania nerwowego, które uczyni wszystko dla wytępienia robactwa, ale nie zagnie nawet palca, by zabić człowieka.

St. Radost.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

LISTY.

Miljony listów oddaje codzień do rąk adresatów poczta polska. Są to przeważnie listy z interesami do załatwienia. Finanse, rachunki zdawkowe frazesy powinszowań i życzeń. Listy bez duszy...

Ale w okresie wakacyjnym, kiedy duża część inteligencji wyjeżdża na wypoczynek letni i tam poza kieratem zajęć odnajduje siebie, zdarzają się i zdarzać się powinny listy, co posiadają duszę. Cóż bowiem częstszego przed odjazdem, jak słowa pożegnania, niemal sakramentalne:

— Pisz, nie zapomnij!

— Pamiętaj pisz często!

Jakoż młodzi i starzy pisują do siebie listy. Więcej młodzi, niż starzy. Należy się zatroskać o duszę tych stroniczek listowych, zapisywanych tak pracowicie, tak czule.

List każdy wtedy ma duszę, kiedy przynosi radość.

Wiemy doskonale że ogromną część korespondencji naszej stanowią przyjęte zwyczajem powinszowania lub życzenia. Taka moda. Siada więc każdy do biurka i pisze. Czasem kilka słów, a jednak i tych słów kilka, gdy napisane z myślą, aby adresatowi sprawić przyjemność, wywołać uczucie radości i szczęścia, szczęście to istotnie mu przynosi. I w niewielu literach taki list ma duszę.

Rzecz dziwna, jacy jesteśmy nielogiczni, nie z jednego odlewu.. Gdy wyjeżdżamy na letnisko, to żądamy koniecznie, żeby nam było wesoło... I las ma być uroczyście słoneczny, radosny i miły, i pola, łany, łąki, ogrody mają nas napawać wdziękiem, wonią i słodyczą. Mają nas cieszyć gwiazdy, kwiaty, strumyki i źródła. Słowem od całej natury spodziewamy się stanowczo, że będzie dla nas tą codzienną, cudowną pocztą, która na każdym listku, na każdym płatku kwiatowym i na każdym promieniu słonecznym wypisze nam czarodziejskie słowa: — radość i szczęście...

Takiem ma być letnisko, taką przyroda. A my sami?!

Ileż to listów powędrowało w świat, niosąc zamiast pogodnej radości, która jak słońce ożywia, zatrute pierwiastki smutku, zgryzot, szaleństwa, rozpaczy i zguby!... Należałoby postanowić i ścigać karami tych morderców, co złe listy piszą..

Istnieje w psychologji potocznej prawo, że z próżnego nawet Salomon nie naleje. Kto w duszy swej w chwili zasiadania do biurka, by list napisać, nie ma pogody, nie ma słońca wewnętrznego, ten adresatowi nie udzieli pogody i słońca. Dlatego też człowiek jako tako kulturalny nie powinien nigdy zasiadać do pisania listu, jeżeli czuje, że duszą jego miotają burze nawałnic, wichry namiętności, zapamiętały a głupi nowoczesny szał nerwów...

Niezmiernie wiele szczęścia można odebrać ludziom przez złe listy, a ogromnie wiele go przysporzyć listami, które niosą pogodę i radość. Gdy tylko pomyśleć, ile to klęsk i nieszczęść spowodowały właśnie listy złe, pisane pod wpływem rozdrażnienia, namiętności, trującej goryczy ducha, nienawiści, zazdrości, podstępnej podłości i bezczelnej pychy, co miażdży słabszego, to naprawdę chciałoby się życzyć wiekowi 20-mu po Chrystusie stosunków pocztowych z wieku 20-go przed Chrystusem... Byle tylko takie listy do „jej” czy „jego” rąk nie doszły.

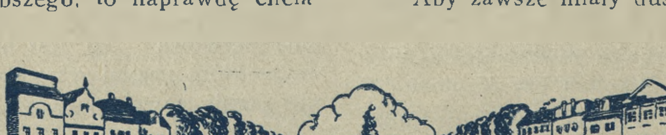
Zapewne, zdarzy się raz po raz przy najlepszej dobrej woli piszącego, że adresat go nie zrozumie przy odczytywaniu listu. Niejasno wyrażona w pośpiechu myśl inaczej mu się przedstawi, gdy ze znudzoną miną czytać będzie i rozbierać pilnie każdą literkę w wygodnym szezlongu. Niewinny dowcip, zwykły żart, wpleciony w treść listu, jako miłe urozmaicenie, spowoduje obrazę majestatu i zerwanie może stosunków. Ale ta możliwość dla każdego myślącego człowieka jest tylko jednem więcej upomnieniem, by zapalać na firmamencie słońce bez chmur, a w listy wkładać myśli bez niedomówień. Słowem, zasiadać do pisania listów nietylko z sercem uspokojonem pogodnem, ale i z głową, zbrojną w równowagę umysłu, jasność i przejrzystość sądu o rzeczach. Bo w zwykłej rozmowie możemy do wadliwie wypowiedzianego zdania dodać w tejże chwili komentarz i myśl swoją trafniej wyłuszczyć, — w listach możliwość taka nie istnieje. Chyba za cenę nowego znaczka pocztowego i... nowego listu, który może przyjść za późno!

Niech jakieś lekkie, przyjacielskie upomnienie, czy mądra skądinąd wskazówka trafi na chwilę depresji duchowej u adresata, na ból głowy, zęba, czy tak modny w naszych czasach rozstrój nerwowy, na zwykły zresztą zły humor — a sprawa bezapelacyjnie przegrana. Obrazi się śmiertelnie, zrywa stosunki dyplomatyczne i dopiero posyłaj ambasadorów celem ich ponownego nawiązania! Dusza pogodna, jasna i promienna, będzie umiała to wyczuć w chwili pisania listu i oszczędzi sobie i przyjacielowi gorzkich chwil nieporozumienia. Napisze zamiast złego — list dobry.

Niezwykły czar i piękno wieje ku nam z dobrych, pięknych listów. Wiemy przecież, że wiele z nich weszło do literatury. Listy pełne słońca, pełne woni — nasycone prawdą, szlachetnemi porywami ducha, wzruszają czytelnika po upływie stuleci. W każdy list, gdy go piszemy, jeśli tylko pamiętamy o tem, możemy włożyć jakiś okruch mądry, dobry, miły, szlachetny ułamek duszy naszej. Nie da się przecież zaprzeczyć, że przy najczęstszej korespondencji z ludźmi, pisanie listu do nich — jest swego rodzaju świętem między piszącym a tym, do kogo się pisze. Rozmowa — to codzienność. Słowo — obiegowa moneta z niklu. Niewiele dbamy o to, gdy jest bardziej wytarte, szare, bez wyrazu. Ale już list — to uroczystość, to świąteczna, poważna rozmowa dwojga dusz i serc. Jak na święto zatem duszę należy przystroić, przyozdobić, uwieńczyć czarem, na wzór otaczającej nas letniej przyrody...

Wiele słońca jasnych myśli, wiele ciepła dobrych, miłych, szlachetnych uczuć, wiele woni upojnej młodocianych, wzniosłych, czarownych rojeń i zachwytów, wiele, bardzo wiele miłości Boga i bliźniego i nauczmy się wkładać w listy nasze...

Aby zawsze miały duszę piękną, jak dusza nasza.





POETA

Poeta — ongiś i dziś, co za temat?
Śmiech pusty za boki ściska,
Poetów na świecie chyba już niema.
Chwalić poetę — sprawa śliska.
Spróbujmy jednak... Rzecz prawie ponętna
— Rzucić świetnych garść wspomnień,
Jak diamentów, zedrzeć hańby piętna
I rozpalić pochwał wielki płomień.
...Poeta, Mojżesz, mag,
Co lud swój wiódł przez pustynię,
Dziś w epoce teatralnych blag
Znaki czyni w... kinie.
W błyskawic wieńcu piorunowych,
Ongiś kroczył na czele tłumu.
Dziś wśród reklam neonowych
Stoi pod pręgierzem pogardy rozumu.
Dawniej wskazywał dokąd kroczyć,
Jak dotrzeć do wieczności progu,
Teraz wlepiają ludzie oczy
W policjanta, co stoi na rogu.
I cóż wam ludzie, cóż wam ludy
Więcej dla serc trza pociechy,
Jakież was mogą porwać cudy,
Skoro dudy wsadziliście w miechy?
Iść wam z Mojżeszem lat czterdzieści
Przez morza, lądy w obcym kraju
Śladem wielkiej zbawczej wieści,
By znaleźć treść życia na Synaju?
Śmiech pusty! .. Duchem wyście karły,
Nie starczy sił wam na ogromne rzeczy ..
Pokolenia w pustyni wymarły,
Wobec ziarnka piasku serce ze strachu wam skrzeczy...
Śni tam się jakiś marotoński bieg
Do... Loursa na pół czarnej.
Smakujecie nowy życia brzeg
U filiżanki kawy marnej.
Jakże tu śpiewać pieśń pochwalną,
Wieniec laurowy wić,
Machabeusze, co w drogę upalną
Chcecie lemoniadę pić?
Jakże jest smutny los poety,
Co chciałby wodzem być,
Zali sprzedawać ma sorbety
I na confetti ciąć Arjadny nić?
Pocóż tyrsem uderzać w dusz skały,
By poezji dobywać wodę kryniczną,
Skoro dziś byle cymbały
Chwalą technikę gazet hydrauliczną.
Zali jest kamień, co nam poetę zrodzi,
Skoro wszystko pruski ledwie mur?
Zgasło słońce wśród elektrycznej powodzi,
Sztuczny jedwab zamienił pątniczy wór.
Wszystko się fałszem pokryło,
Wulkan świata zionie tytuniowy dym,
Piękno się wydelikaciło,
Apollinem został Igo Sym.
Jakiż więc znaleźć godny rym
Do słów, którym treści brak,
Gdzie jazzband trzyma prym
Poeta gubi takt?!
Zatem jakiż manifestu sens,
Poetę ściąć, czy uwieńczyć trza?
Czy niech zanuci wzniosłą pieśń,
Wielki pożar niech wznieci ta skra?
Widzę wasze wyciągnięte dłonie,
Łaknące serca widzę,
I umęczone wasze skronie.
Więc się lituję, choć nienawidzę.
Powstańcie duchem współcześni,
Nastrójcie lirę czujnych serc,
Niechaj na dźwięk tej pieśni
Runą mury najtwardszych twierdz.
Do szeregów, równaj, w niebo patrz,
Poeta dziś rewję przyjmuje.
Do ataku broń.. Poezji szarża szarż
Niech ziemię stratuje!
Chcę runąć na was urodzajnym deszczem
I piorunami skruszyć serc opoki.
Hej grozą ja was upieszczę,
Gdy zawisnę na niebie burzowym obłokiem,
Nauczę melodji, którą wieczność śpiewa
Głusi usłyszą ją z radością,
Wkorzenię się w was ziarnem drzewa,
Na którem słodki owoc prawdy dojrzewa,
Pobratam ludzi z boskością.
Więc nadstawcie ucha,
Oto pieśń moja gejzerem piękna w niebo bucha.

St. Radost.

MALARSTWO

Trudno jest w paru słowach scharakteryzować zarówno ilościowy jak i jakościowy dorobek ukraińskiego malarstwa. Nie ulega wątpliwości, że jest on wielki, mimo stosunkowo niedawnych zapoczątkowań. Oczywiście za datę przełomową w rozwoju malarstwa ukraińskiego należy uważać wiek XIX-ty, kiedy to zarówno w Akademji krakowskiej, jak i w innych ośrodkach zaczęła się kształcić młodzież ukraińska. Z pod szkoły polskich mistrzów wyrósł



P. Chłodnij. W ogrodzie Getsemane.



Stara brama.

cały szereg talentów, wśród których publiczność polska miała sposobność zapoznać się na wystawie w Zachęcie z artystą wcale wybitnym, kolorystą pierwszorzędnym, Nowakowskim. Sposobność do przeglądu malarstwa ukraińskiego nastręczyła zeszłoroczna wystawa malarzy, urządzona we Lwowie.

Z biorących udział w tej wystawie warto zapamiętać szereg nazwisk, które tu podajemy, dla charakterystyki wraz z odbitkami ich dzieł.

Trzeba tu wymienić przedewszystkiem wybitną malarkę, Kulczycką, o wielkich zaletach kolorystycznych, pełną ekspresji artystycznej. Pozatem M. Moroz, G. Smolski, R. Udo, O. Pleszkan, A. Maliuca, wśród grafiki L Chiżyński i inni stają w rzędzie utalentowanych i oryginalnych twórców. Malarstwo ukraińskie niewątpliwie organicznie zrośnięte jest z kulturą ludową. Nie widzimy prawie w niem zainteresowania dla różnych nowości z Paryża.

Z wielkim pietyzmem natomiast malarze ukraińscy od-



O. Kulczycka. Przy studni.



O. Kulczycka. Dzieci.

UKRAIŃSKIE

twarzają motywy rodzimego krajobrazu i życia wiejskiego. Artystyczne wypowiedzenie rzeczywistości tego życia budzi zachwyt siłą swej ekspansji i rzetelnością kolorystyczną.

Wyobraźnia ich, ukształcona na bujnem i pierwotnem podglebiu znajduje w niem dostateczny zupełnie pokarm. Ze zdobyczy różnych izmów: impresjonizmu czy ekspresjonizmu biorą oni to, co jest wartościowe co nadaje się do ich celu.



M. Moroz. *Matka.*



Ukrzyżowanie.

Trzeba zwrócić wreszcie choć przelotną uwagę na religijne tematy. Widzimy u malarzy ukraińskich w tej dziedzinie wpływ i echa sztuki bizantyjskiej, już nie mówię o rzeczach malowanych przed laty, ale nawet i dziś się to uwidacznia Pod tym względem malarze ukraińscy są tradycjonalistami

Nie ulega wątpliwości, że plastyka ukraińska jest zjawiskiem bardzo bogatem, wyrosłem z podłoża narodowego, że w to podłoże jest dobrze wkorzeniona Niewątpliwie dla widza jest ona wielce interesującem zjawiskiem dzięki swym odrębnym cechom, wysoki jej poziom artystyczny (podobnie jest na Ukrainie Sowieckiej, co stwierdziliśmy w I P S'ie) rokuje jej jak najwspanialszą przyszłość.

Żałować należy, że stosunkowo mało mamy sposobności do zapoznania się z jej przejawami. Fragmentaryczna wystawa w „Zachęcie" prac Nowakowskiego nie może być uznana za wystarczającą. Miejmy nadzieję, że Warszawa ujrzy wkrótce wystawę malarstwa ukraińskiego w całej pełni. Warto, by koło tego zakrzątnęły się odpowiednie instytucje. Znaczenie propagandowe i kulturalne tego faktu stanowi tu argument najwyższej miary. Podnieta do urządzenia wystawy w Warszawie mogłaby wyjść od Instytutu Wschodniego. Wykona to któraś z instyt. artystyczn.



S. Smolski. *Zima.*



O. Kulczycka. *Nad wodą.*

DON JOSE ST. NOARRO. 7)

ZDOBYWCA AFRYKI

POWIEŚĆ.

— Czy nie możnaby w jakiś sposób spowodować „wycofania“ Żarnickiego ze sceny. Gdy on odejdzie, to sytuacja ulegnie zmianie — odezwał się Samuel, którego uwagę, pomimo niedawnej klęski moralnej, zdołała pochłonąć nowa afera.

— Samuelku ty masz rozum! — pochwalił Lewin. Szkoda, że taki jesteś słaby w metafizyce naszej ideologji.

— Bo, ta wasza metafizyka za bardzo nurza się we krwi. Ja się brzydzę, ja się boję — żachnął się Samuel. — Ja wolę jubilerską robotę.

— Już dobrze! Nie mówmy o tem. Wracając do sprawy. Otóż to: Żarnickiego trzeba usunąć — ciągnął Lewin. Czy on niema „przeszłości“? Możnaby go skompromitować.

— Próbowaliśmy. Usiłowaliśmy nawet mu ją „zrobić“. Nie udało się. A coprawda możnaby. W czasach swej młodości przez pewien czas interesował się konfesjonalnym ruchem chrześcijańskim. Potem jednak ogłosił oświadczenie, że niema z tem nic wspólnego i chce pracować dla katolicyzmu, któremu był zawsze wierny.

— To już jest coś! To się przyda. Pomyślę o tem — ucieszył się Lewin — tylko proszę o szczegóły — podniósł się następnie i zaczął mówić głosem doniosłym:

— Jak się przedstawia ta sprawa? Zupełnie źle. Oddawna zastanawiałem się nad jej zlikwidowaniem, mając stan rzeczy dokładnie referowany przez Abrama. I doszedłem do wniosku — tu podkreślił, podnosząc głos, że z tym Żarnickim trzeba radykalnie skończyć. i siadł ciężko jakby pod brzemieniem ogłoszonego wyroku.

— Co to znaczy skończyć? — Wykrzyknął Samuel. Znów knujecie jakąś krwawą podłość.

— Co ty wiesz, Samuel? Siedź cicho! — powiedział Lewin.

— Doradź co mądrzejszego, skoro już wszystkie środki wyczerpaliśmy.

— Można spróbować jeszcze metody Ulyssesa. Ktoś, z oddanych nam ludzi wejdzie do towarzystwa i rozsadzi je.

— Ty jesteś naiwny. Żarnicki zna kulisy nasze, i pilnuje się Jego nie da się podejść.

— No to ostateczny środek. Odebrać mu to, co on ma najdroższego w swem życiu — żonę!

— Też pomysł — jak z romansu za 30 sous. Co się z tobą Samuel dzieje? Ja mówię krótko — skończyć z Żarnickim i tu wielki palec Lewina zgiął się charakterystycznie ku ziemi gestem cezarów, odmawiających prawa łaski.

— To okropne. Ja idę stąd — szeptał Samuel.

Wstał rebe David i, wznosząc ręce, zaczął mówić, skandując, jakby modlitwę:

— Błogosławię lud mój, gdy walczy dla chwały imienia mego. Nie przepuście mężom, niewiastom, ani dziatkom i niech zginie wszystko, cokolwiek ich jest

Po sali przeszedł szmer i naraz wszystkie ręce podniosły się zgodnie.

— Biada niewiernemu. Biada wrogowi ludu mego — skandował David.

— Biada wrogowi — odpowiedział ten i ów z obecnych. Poczuli się, jakby namaszczeni na wielką misję.

VII.

Stefan czekał w rozmównicy sejmowej na posła Pęcherza, z którym chciał się porozumieć.

Rojny tłum interesantów, licznych jak piasek, przyniósł tu zaduch niedomytych ciał oraz spraw małych, próśb pokornych o możną protekcję, biadań mało skutecznych na nadużycia prowincjonalnych satrapów, natrętnych zabiegów o prywatę, żeglującą zuchwale pod sztandarem dobra narodu.

Wreszcie woźny zawiadomił go, że poseł jest i za chwilę zejdzie na dół.

Pęcherza znał dawno, razem pracowali społecznie przez ładnych kilka lat. Niestety, nie mógł się z jego metodą pracy pogodzić, nie mógł wytrzymać w tej atmosferze ustawicznego szantażu, którą lubował się Pęcherz. Kiedy zaś przekonał się, że wyzyskuje go, zasłania jego nazwiskiem swe afery, w oczy kadzi i pochlebia się, a za plecami obmawia przez zawiść, jaką żywi każdy niższy twór do szlachetnej istoty — zagotowało się w nim oburzenie i zerwał ze swym niegodnym towarzyszem. Właściwie zabrakło mu serca do gwałtu i awantury, wycofał się więc powoli z oplotu obmierzłych mu spraw i poszedł swoją drogą, zostawiając Pęcherza własnemu losowi. I wówczas dopiero Pęcherz rozwinął swe nietoperze skrzydła do ciemnych lotów. Widocznie współpraca Stefana krępowała go. Zakotłował docna atmosferę wokół siebie i właściwemi sobie krętemi szlakami, wypłynął na posła.

Tu na forum parlamentu, a zwłaszcza jego kuluarów zabłysły w całej pełni intryganckie talenty Pęcherza.

Dobrze wyczuwając sytuację polityczną kraju, umieścił się w małej partji robotniczej, która lawirowała między nacjonalizmem i sanacją, a cały swój spryt zużytkował skutecznie na odegrywanie intratnej roli języczka politycznej równowagi, mediatora, którego jedyny interes polegał właśnie na jak najdłuższem utrzymywaniu stanu niepewności.

Mistrz „moralnego szantażu" osiągnął szczyt swej działalności dla... dobra narodu.

Kiedy więc Stefan wciągnął w program propagandowy swej akcji sfery parlamentarne, mimowoli myśl jego zatrzymała się na Pęcherzu.

Polityka jest fałszywą grą. Fałszerz nad fałszerze mógł być wygodnym Ciceronem na jej terenie.

Niecierpliwiącego się już Stefka wyrwał z zamyślenia donośny głos woźnego, który oznajmił: „Pan poseł Pęcherz czeka".

Stefan wstrząsnął się nie tyle na myśl spotkania się z suwerennym majestatem, ile z przykrości, jaką wywołały wspomnienia czasów minionych

Ale trudno. Gra była zaczęta.

W eleganckim zażywnym mężczyźnie z trudem rozpoznał dawnego kolegę. Pęcherz powitał go urzędowo, bynajmniej nie skory do przyjacielskiej ostentacji.

— Czem mogę służyć panu? Ta wstrzemięźliwość ostudziła nadzieje Stefana, jakie łączył z nawiązaniem stosunków z Pęcherzem. Już chciał wogóle się wycofać z całej sprawy pod pretekstem grzecznościowej wizyty, gdy Pęcherz z właściwą sobie żywością przeszedł do innego tonu.

— Siadaj pan, pogadamy sobie!

Napróżno jednak oglądali się za wolnem miejscem. Wszędzie tkwiły jakieś postacie, wszędzie szepty, narady, pokorne supliki,, to znów ostentacyjne gawędy ludzi pewnych siebie.

— Pójdziemy do klubu!

Po chwili wędrowali korytarzami rozległego gmachu sejmowego.

Kiedy wreszcie rozsiedli się wygodnie w fotelach, Pęcherz, niezrównany w roli gospodarza, wyciągnął papierośnicę, bogato inkrustowaną monogramami i częstując, zagaił rozmowę.

— Pracujemy tu energicznie. Społeczeństwo niema wogóle pojęcia o ciężarze i odpowiedzialności pracy poselskiej. Zato historja oceni należycie nasz trud, zawołał patetycznie i wydął pysznie swe kurze piersi, jakby rozpierało go przeświadczenie, że jest najidealniejszym kandydatem na pomnik, godny hołdów przyszłych pokoleń.

— Bardzo przepraszam, że panu posłowi zabieram drogocenny czas — powiedział Stefan.

— Ale skąd znowu? Bardzo się cieszę, jeśli w czemkolwiek mogę być panu użyteczny. Gdyby ujawnić te tysiące usług, których niezależnie od pracy ustawodawczej udzielają społeczeństwu jego suwereni, opinja o nas winna być o sto procent lepsza. Słowem, narzekają na nas, a bez nas nie mogą się obyć.

Stefan chciał już coś powiedzieć o względach familijnych i koteryjnych, które są motorem suwerennej usłużności, ugryzł się jednak w język, nie chcąc odrazu zrazić do siebie Pęcherza.

Zastanowiło go tylko to nieproszone samochwalstwo i adwokatowanie interesom sejmowych komparsów. Coś w tem jest.

Prawdę mówiąc, Pęcherz dął tak w surmy pochwał suwerennej usłużności, aby potem wytknąć i Stefanowi jego zabiegi, przekonany, że przyszedł on także w prywatnej sprawie.

Stefan postanowił wreszcie wyłuszczyć swój interes.

— Ja do pana posła w sprawie kolonizacji Kamerunu.

— Kamerunu? — zdziwił się poseł.

— Tak, podjąłem akcję stworzenia wielkiego ruchu kolonizatorskiego.

— Aha, słyszałem o tem, owszem. Pan wygłosił kilka odczytów. Prasa zrobiła huczek.

— Więcej, stworzyliśmy nawet już Pol. Tow. Kolonizacyjne. Zgromadziliśmy trochę pieniędzy. Ale sprawa nie posuwa się naprzód, ponieważ nie mamy terenu na osadzenie kolonistów. Niezbędne jest zainteresowanie się czynników państwowych, czego — wydaje mi się — nie osiągniemy bez filtru sejmowego. Przychodzę do pana posła, by zasięgnąć jego rady co do dalszej akcji Tow. Kolonizacyjnego.

— Bardzo trafnie pan uczynił. Sejm rzeczywiście winien spełniać rolę pośrednika między rządem a społeczeństwem. Bardzo się cieszę, że nie dał się pan zasugestjonować modnej dziś nagance na jego powagę. Przechodzę do sprawy. Miałem sposobność rozmawiać o niej z kolegami różnych obozów, nie spostrzegłem żadnego zainteresowania. To będzie trudna rzecz ruszyć ją naprzód. Ale to się da zrobić. Jakież pan ma plany?

— Opracowałem obszerny memorjał w kwestji kolonizacji. Wydałem naukowe dzieło. Projektuję specjalną konferencję informacyjną dla sfer parlamentarnych.

— Ach widzę — zaśmiał się Pęcherz — należy pan do tego niepoprawnego gatunku ludzi, którzy wierzą w światotwórczą potęgę memorjałów. Prawda, macie świetnych protagonistów. Towiański, Hoene-Wroński, co cesarzy, papieży i możnych świata memorjałami straszyli. Mówię panu szczerze: bibułą i gadaniem nie zdobędzie pan swego Kamerunu. Takich memorjałów w sprawach największej wagi składają nam setkami i tysiącami. Są nieraz bardzo dorzeczne.

Niedawno otrzymaliśmy memorjał o zmeljorowaniu nieużytków gruntowych: Polesia, mokradeł nadwiślańskich (z nurtów Wisły samej możnaby wyrwać ze 100.000 ha. itp). Projektodawca żąda niewiele na to, pół miljarda zł. Apeluje do naszego patrjotyzmu, zrozumienia interesu publicznego. Wszystko to bardzo piękne. Ale nie tędy droga. Nikt tej sprawy u nas nie tknie.

— Więc co robić? zapytał Stefan, oszołomiony i przerażony elokwencją posła, niepozbawioną słuszności, zastanowiła go przytem ta aluzja o Polesiu.

— Trzeba zorganizować sprawę praktycznie, na zasadach handlowych. Mogę panu wskazać kilka osobistości ze świata parlamentarnego, ze sfer ustosunkowanych w rządzie. Zaprosi się je do Zarządu pańskiego Tow., otrzymają diety za posiedzenia, pewną ilość akcyj. Zobaczy pan, jakiego narobią ruchu, jak wszystko pójdzie gładko.

— Ależ to pachnie korupcją — oburzył się Stefan.

— Kochany doktorze — obruszył się poseł, po co te groźne słowa. W sejmie są ludzie uczciwi — trzeba to sobie zapamiętać. Trudno jednak, muszą być, muszą godnie nosić majestat swych obowiązków. Pracę ich trzeba więc należycie wynagrodzić.

— Bardzo pięknie. Ja jednak nie przywykłem spraw społecznych załatwiać w ten sposób.

— Wogóle niema innego sposobu, jeśli ma sprawa być pomyślnie do końca doprowadzona. Kochany doktorku, myślałem, że pan się już wyleczył z tego niepoprawnego idealizmu, który koło butów chodzi.

— Ale za to w płaszczu uczciwości.

— No, no proszę nie wykłuwać ludziom oczu uczciwością. Taka jest ona, na jaką ludzi stać. Samą uczciwością nie zdobędzie pan ani jednego metra ziemi w Kamerunie. Przeciwnie może się zdarzyć, że akurat na przekór pańskiej Afryce wyjedzie sprawa Polesia. Bliższa koszula ciału.

— Na koszulę, którą polskiej będzie trzeba wdziać, nie wystarczy Polesia! Tu trzeba miljonów hektarów ziemi, trzeba całych nowych lądów.

— Może, ale pan ich nie zdobędzie samotrzeć A każda krucjata to nietylko modlitwa idealizmu, to także worek złota na ekwipunek, oręż, tarcze i t. d. na żołd wreszcie. To czasami worek Judasza.

— Zapewnie. Zależy jednak komu i za co. Sejm jako stróż dobra narodu, na wysokich przytem dietach, powinien chyba bezinteresownie pracować.

t (D. c. n.)

POEZJA UKRAIŃSKA

Zainteresowania literaturą ukraińską w społeczeństwie naszem jest bardzo niewiele Nieznajomość życia duchowego narodu, który w pewnej swej części zamieszkuje z nami pod jednym dachem prawie zupełna. Z tej nieznajomości niewątpliwie rodzą się te wszystkie błędy, które kładą się ciężkiemi kamieniami na współżycie Polaków z Ukraińcami.

Nie zdajemy sobie sprawy z możliwości twórczych Ukraińców, niedoceniamy ich wartości kulturalnych. Dla dobra nas samych należy jak najprędzej uświadomić sobie wszystkie wartości naszego współlokatora. Piśmiennictwo, jako zwierciadło ducha narodowego i widomy objaw jego możliwości twórczych winno być poznane i znane dokładnie. Zadanie poznania i zrozumienia literatury ukraińskiej jest całe jeszcze do odrobienia. Poza wiadomość, że był sobie kiedyś ukraiński poeta Szewczenko, nie wyszliśmy nieomal wcale W ostatnich dopiero miesiącach zaczynamy dowiadywać się, że współczesna poezja ukraińska płynie mocnym nurtem, że liryka współczesna ukraińska szczyci się wielkiemi talentami Na skutek tego, że poezja ukraińska, była i jest dla narodu ukraińskiego jego jedynym wyrazem aspiracyj duchowych, że nieomal pełni to zadanie co ongiś nasza poezja romantyczna, jej więc należy, przy poznawaniu narodu ukraińskiego baczną poświęcić uwagę.

Dla jasności obrazu na samym początku artykułu pragnę zaznaczyć, że cała nieomal wielkość poezji ukraińskiej dojrzała w rosyjskiej Ukrainie, znajdującej się obecnie pod panowaniem bolszewickiem ona jest właściwem źródłem natchnień poetów ukraińskich, rekrutujących się z nadnieprzańskich nizin i rozłogów.

We Wschodniej Małopolsce dotychczas nie można zaobserwować żywszego ruchu literackiego.

Literatura ukraińska jest zjawiskiem młodem Powstała w ubiegłem stuleciu, kiedy to duch wolny, Iwan Kotlarewskyj rozpoczął pisać o przeszłości narodowej i nie bacząc na prześladowania ze strony władz rosyjskich, w płomiennych utworach nawoływał do walki o wolność. On był również twórcą dramatu ukraińskiego, a jego utwór „Natałka Połtawka" należy do żelaznego repertuaru teatru ukraińskiego.

W ślady zapoczątkowanej przez Kotlarewskiego walki słowem o ducha narodowego poszła liczna gromada pisarzy, wśród których, jako liryków wymienić należy: **M. Kostomariwa, Artemowskyho-Hułaka, W. Masłowycza, M. Makarowskyho** i innych. Nie byli to jednak poeci wielkiej miary i dopiero zjawienie się na Parnasie ukraińskim **Tarasa Szewczenki**, ukraińskiego Mickiewicza, rozświetla poezję tego narodu wszystkiemi blaskami tęczy.

Taras Szewczenko (1814—1961), prześladowany przez władze rosyjskie, wywieziony na stepy Turkiestanu, był prorokiem ukraińskim, wieszczem, który wyśpiewał ból całego narodu, wszystkie jego marzenia i zawody. Poeta o szerokim, jak step ukraiński oddechu, o głębi tak przepastnej jak gwiaździstość nocy ukraińskich, stanowi w rozwoju poezji tego narodu — całą epokę. Obok niego jaśnieje nazwisko **Pańko Kulisza,** (1819—1897), tem dla nas przedewszystkiem sympatyczne, że poeta ten propagował zbliżenie Ukraińców do narodu polskiego („Kraszanka Rusynom i Polakom na Wełykdeń"!). Był to dziwny niespokojny, ale wysoce płodny umysł. Napisał szereg powieści i poematów („Ukraina", „Nastusia") i utworów dramatycznych. Naśladowcami jego były przedewszystkiem kobiety: **Hanna Barwinok** i **M. Wowczok,** pisarka bardzo popularna.

W końcu ubiegłego stulecia wybija się z licznego zastępu pisarzy i poetów **Iwan Franko** (1856—1914) świetny powieściopisarz i głęboko czujący poeta. Najdoskonalej poznać można duszę narodu ukraińskiego właśnie z przepięknych poematów tego poety. Wszystkie jego utwory „Berkut", „Czowen", „Łys Mykyta", „Mojses", „Najmyt", „Pańskie żarty", „Wicznyj Rewolucjoner", „Zachar Berkut", należą do nieśmiertelnych zdobyczy piśmiennictwa ukraińskiego. Wyróżnia je śmiałość myśli, rozległość horyzontów duchowych i ton tak bardzo ukraińskiej poezji właściwy — ton huczącej szerokiej rzeki przepływającej przez wszystkie horyzonty uczucia, poroby cierpienia, w morze wiekuistej wiary w człowieka i jego nieśmiertelność, skrzywionej może tylko przez nastawienie filozoficzne

Iwan Fraszko był łowcą, który w głębiach rozlewnej, nie zamkniętej w kształty konkretu państwowego duszy ukraińskiej, wyłowił najcenniejsze perły natchnienia i piękna.

Jest więc dlatego nietylko poetą ukraińskim, jest poetą wszechludzkim. Z rówieśnych mu poetów godna bacznej uwagi jest **Łesia Ukrainka** (1871—1913), najzdolniejsza poetka pokolenia przełomu dwóch stuleci, wśród których należy wymienić nazwiska **B. Łepkiego,** naśladowcy i kontynuatora poezji Iwana Franka, **M. Woronyja, W. Szczurata,** poety i filozofa i poetki bukowińskiej **Olgi Kobylańskiej,** propagatorki haseł walki o wyzwolenie duchowe kobiety.

Po wojnie dochodzi do głosu w warunkach jeszcze cięższych niż przedwojenne cały zastęp wysoce utalentowanych poetów, wśród których **Paweł Tyczyna** jest uważany za jednego z najwybitniejszych liryków ukraińskich. Pierwsza jego książka, która ukazała się w 1917 roku nosi tytuł „Słoneczne klarnety". Książeczka ta wywarła wielki wpływ na dalsze kształtowanie się poezji ukraińskiej. Choć szczupła w rozmiarach, zapoczątkowała ona nowy okres walki o człowieka, o ziemię rodzoną, o własne państwo. Stworzyła nowe wartości formalne, a jej niezwykła muzykalność nie znajduje zupełnie porównań. Tyczyna tworzy słowo, ton, wiersze-poematy muzyczne, słowa i dźwięki w poezji jego szaleją, dzwonią tak jak Dniepr na wodospadach. Brakowało tej książeczce wewnętrznej spoistości i konstrukcji, którą poeta odnalazł w tomie drugim w „Pługu", wydanym w 1919 roku. Tom ten, przy całem bogactwie artystycznych form i skojarzeń jest widocznym dowodem pracy poety nad pogłębieniem dyscypliny poetyckiej, samoopanowaniem się i nowym ładem wulkanicznej twórczości poety patrjoty, którego miłość do ziemi ojczystej sprowadzi w kilka lat później na manowce działalności politycznej.

Po „Pługu" ukazał się tom wierszy nierymowanych p. t. „Zamiast oktaw i sonetów", oraz „Wiatr z Ukrainy" który wykazał już widocznie przedwczesne spalanie się tego bujnego organizmu poetyckiego, który działalność swą artystyczną zamienił na pracę społeczną na Ukrainie sowieckiej, ginąc w niej dla twórczości. Z innych wybitnych nazwisk współczesnych poetów ukraińskich przytaczam: M. Rylskiego, M. Semenkę, D. Zahułę i Eugienjusza Małaniuka, poetę-emigranta, mieszkającego wśród nas w Warszawie, którego twórczość odznacza się wysoce zwartą kompozycją wiersza. Jest to poeta o pełni uświado-

MALARZ UKRAIŃSKI ALEKSANDER NOWAKOWSKI

W Mogile, niedaleko Krakowa, przeżyłam przed laty nadzwyczajne wrażenia artystyczne. W małej chatce chłopskiej mieszkał tak niezwykle oryginalny człowiek, malarz Aleksander Nowakowski. Ukończył właśnie wówczas studja w krakowskiej Akademji Sztuk Pięknych i żył tam w osamotnieniu i ubóstwie, poswięcając cały czas malarstwu i miłości ku dziewczynie wiejskiej, swej późniejszej narzeczonej. Wszystko w życiu jego przesiąkło szczytnym idealizmem, tak stosunek jego do sztuki, jak i do uwielbianej dziewczyny.

Nie zapomnę nigdy wrażenia, tak wielkiego i głębokiego, jakie wywarł na mnie jego pokój! Po dużych kłopotach z szukaniem, znalazłam wreszcie pewnego zadeszczonego dnia chatkę, w której Nowakowski wtedy mieszkał. Pokój jego był mały, niski i dosyć ciemny, jedynym przedmiotem, jaki się przy wejściu rzucał w oczy, było duże, piękne lustro w ramach drewnianych. Nigdyby pomyśleć nie można, żeby tak mała przestrzeń zawierała tyle piękna. Naprzód pokazał mi gospodarz szereg pięknych portretów, w których zajmował się rozmaitemi problemami kompozycji i oświetlenia. Powtarzały się tam te dwie postaci: jego i narzeczonej artysty. Najpiękniejszy rysunek kojarzył się tam ze wspaniałym kolorytem, stosowanym tak w stroju krakowskim młodej narzeczonej, jak i w kwietnem tle. Z kolei pokazał mi krajobrazy. Główną zasługą artystyczną Nowakowskiego było tu oświetlenie, nie koloryt. Były tam obrazy, w całości niebu poświęcone, z krajobrazem u spodu, jeno, jakby na marginesie. Szereg olśniewających obrazów oddawał wspaniale małą, skromną chatynkę jego narzeczonej, zawsze zaś w innem świetle.

— Czy dużo takich obrazów pan sprzedaje?

— O, nie! Za wielką zato mają dla mnie cenę, wogóle nie można za nie zapłacić...

Upłynęły lata. Doszło do mej wiadomości, że Nowakowski długo i ciężko chorował, i że osiadł ze swą żoną we Lwowie. Popierał go, oceniwszy należycie, wybitny znawca sztuki w całem tego słowa znaczeniu, lwowski metropolita gr.-katol. Andrzej hr. Szeptycki.

Na wiosnę roku 1921 ogłosiły we Lwowie plakaty i dzienniki, że malarz Aleksander Nowakowski w swem mieszkaniu prywatnem urządził krótką wystawę swych prac. Mimo znaczną odległość wystawa miała duże powodzenie i „bardzo dobrą prasę". Nawet nacjonalistyczne wówczas „Słowo Polskie" ogłosiło korzystną, bezstronną recenzję prof. Władysława Kosickiego, w której Nowakowskiego porównano z najlepszymi polskimi malarzami, w szczególności z Pautschem. — Prace Nowakowskiego, które zaprezentował publiczności, tworzą trzy wielkie grupy. Naprzód, kompozycje mistyczne i alegoryczne, częściowo wykonane na kartonach i mające służyć za wzór do dużych obrazów mozaikowych, potem wspaniałe gry świateł w formie krajobrazów, potem wreszcie apoteoza życia prywatnego w obrazach. Pierwiastek ukraiński sztuki Nowakowskiego występuje najdobitniej w pierwszej grupie. Typ wszystkich głów jest niezmiernie ukraiński, z ukraińskiego też punktu widzenia ujęto personifikacje sztuk, strój nawet w drobnych szczegółach ukraiński. Kompozycja zaś prac powyższych jest w każdym calu wielkiej klasy i zbliża się do obrazów włoskiego renesansu. Od tej grupy należą też monumentalne i apoteozujące portrety ks. arcybiskupa Szeptyckiego. Ciekawe wrażenie robią obrazy drugiej grupy. Wszędzie powtarza się ten sam widok, a mianowicie z okna pracowni artysty. Jest to widok na wysoko położoną gr.-kat. katedrę św. Jura w stylu rokokowym. To kontynuacja tymczasowych problemów, które interesowały malarza jeszcze w Mogile, moc oświetlenia, gra barw na niebie. Liczne obrazy (niektóre z nich całkiem małe) wyglądają jak szlachetne kamienie o wielkim blasku. — Ostatni pokój wystawy zawierał obrazy z życia rodzinnego artysty. Oto znowuż on obok ubóstwianej swej żony w krakowskim stroju chłopskim. Ale pewna melancholja owiewa teraz te postacie, jak np. na obrazie z małą trumienką, która ma okrywać ich pogrzebane sny młodości.

Nowakowski jest dzisiaj największym z pośród malarzy ukraińskich, jest też wogóle największym malarzem Ukrainy, gdyż starsi, jak Krusyćkyj, zostali daleko za nim, młodzi zaś — z bardzo zdolnym Iwańcem na czele, nie osiągnęli też jego poziomu.

Olbrzymi talent Nowakowskiego rozwinął się jak najpotężniej.

Wanda Pogonowska.

---

mienia wewnętrznego, a zbiory jego poezji: „Sztylet i Stylos", „Gerbarij" i „Ziemia i Żelazo" pisane są ręką, mocno trzymającą w cuglach bogate, bujne, rwące z kopyta słowo. Wśród kobiecych piór współczesnych należy wymienić Chrystę Ałczewską, zmarłą niedawno autorkę tomików „Tęsknota za słońcem", „Wiśniowy kwiat" i „Klematis". Tonem zasadniczym tej cichej, zamyślonej poezji jest smutek i rozczarowanie. Najmocniej dźwięczy akord bólu w ostatnim zbiorze „Klematis", w którym poetka opłakuje śmierć swej serdecznej przyjaciółki. Spowiada się w tych wierszach czujące, samotne serce kobiece.

Dola poetów urkaińskich jest więcej aniżeli rozpaczliwa. Jeśli, jak Tyczyna, nie uwierzyli w utopję komunistyczną, jeśli budzili miłość i tęsknotę za wyzwoleniem Ukrainy z pod bolszewickiego panowania, to albo musieli emigrować na Zachód, albo zostali przez bolszewików zesłani na wyspy Sołowieckie, gdzie w strasznem wycieńczeniu konają powoli albo też poprostu, jak np. **Hryć Czuprynka** zostali przez sowieckich władców Ukrainy rozstrzelani. W tych warunkach poezja ukraińska jest dowodem wielkiej żywotności ludu ukraińskiego i dlatego, nie mówiąc już o wielkim znaczeniu artystycznem, bacznie przez nas powinna być śledzona i poznawana.

JAN SKALA.

NIE PODDAWAJ SIĘ

Że nikt z nas nie wie, w czem jego zadanie,
Ten ściga widma i w złud ufa moce,
Inny się w chacie gryzie dnie i noce,
Jakiż się po nas prawy czyn zostanie?

Za kraj gdy mamy iść na bojowanie,
Jeden jest mężny, a drugi dygoce,
Czyż dni te mogą jasne nieść owoce?
Choć mamy bronie, nikt nie chwyta za nie.

Precz nędzny smutku! Precz obawo niska!
Naprzód na wały! Hej, skokiem na miasta!
Posłysz głos Sławy, jak się do serc wciska,

Gniew twój na katy niechaj w szał urasta,
Wara, by z mieczem w dłoni cię ujęto.
Padnij lub zdobądź serbską ziemię świętą.

TARAS SZEWCZENKO.

CZYHYRYN (CZEHRYŃ)

Czyhyrynie, Czyhyrynie!
Wszystko w świecie ginie —
I ta sława twoja święta
Jakby pyłek, płynie
Za gonitwą wiatrów chłodnych —
I przepada w chmurach,
I wysycha Dniepr, i stygnie
W rwących fal swych górach.
Rozsypują się mogiły,
Wysokie mogiły.
Sława twoja; i o tobie,
Starcze słabosiły,
Nikt i słowa nie przemówi,
Ani nie pokaże,
Gdzieś ty stał, w pochodzie losu,
Przez koleje wraże!
Za cośmy bili się z Lachami
I zaco rżnęli się z ordami?
Dlaczego kłuliśmy spisami
Żebra moskiewskie? Zasiewali
My nato, krwawiąc się uczciwie,
Ażeby, ach! nic potem wcale
Nam nie zakwitło na tej niwie.
Jeno nam urodziła ruta,
Tak, jak ta dola nasza struta.
A ja, jak wyklęty, na twojej ruinie
Łzy tracę na marne. Sen na Ukrainie.
Ponuro zarosła, pokryta burzanem
I w moczar upadła z swem sercem zła-
[manem.
A w dziupłe swe chłodne ściągnęła złe
[żmije
I w łonie je, nędzą starganem, wciąż
[kryje.
A nadzieje
Hen po polu wiatr rozwieje
I rozniosą fale mórz
Na niepamięć wieczną już.
Niech w dal wicher je roznosi
Skrzydłem dumnem — w siną dal,
Niechaj serce płacze, prosi,
By w moc urósł prawdy żal!
Czyhyrynie, Czyhyrynie!
Druhu mój jedyny!
Ty przespałeś lasy, stepy,
Dolę Ukrainy!
Śpij, pokryty żydowszczyzną,
Zanim słońce wstanie,
Zanim z naszych niedolatków
Urosną hetmani
Chciałbym zasnąć, lecz me myśli,
Spokoju wydzierce,
Rwą się, by zapalić duszę
I rozszarpać serce.
O, nie rwijcie i nie palcie,
Może wróci znowu
Moja prawda nieszczęśliwa,
Moje ciche słowo.
Może ja do pługa skuję
Mocą z stron potęgi
Nowy lemiesz, i założę
Ciężkie doń uprzęgi.
I może ja ugór zorzę —
A na tym ugorze
Będę siać łzy szczere moje,
Jasne łzy, me zorze.
Może zejdą i wyrosną
Obosieczne noże
I rozetną serce zwiędłe
I odrodzą może.
I wycedzą krew straconą
I żywej naleją,
Żeby śmiała się szaloną
Kozacką nadzieją.
Może — a pomiędzy noże
Ruta błyśnie nowa
I barwinki się rozwiną
I skrzywdzone słowa,
Słowa smutnych łez — i pełne
Uwielbienia Boga
Przyjdą znowu, i dziewicza
Wielka serca trwoga...
Więc powrócą i zawioną
Tchem świętego gaju...
Słowa, skryte łez oponą,...
Raju ty, — mój raju!
Śpij, Czehryniu! Niechaj giną
Pośród wrogów dzieci!
Śpij, hetmanie — nim świt wstanie
I prawdą zaświeci!

Przekład Jerzego Pogonowskiego.

EUGENJUSZ MALANIUK.

DZISIAJ

I.

Biała słodycz jabłoni w kwiatach.
Piję życie spragniony — z odwagą,
Przyjdziesz, przyjdziesz? — i leci: przyjdę,
Miodonośnym oddechem — oj, Łado!

Dzwoni dzień — złocistość laurów,
Śpiewa dzień błękitem zawisa...
Tylko — jabłonie i gołębie,
Tylko barwy fruwają dzisiaj.

II.

Nic, to nic, że niebo jest cudze i cudza
Ziemia zawisła na oczach — spójrz!
Wszak minięta jest przez nas ostatnia miedza,
I przed nami dal jaśnieje już.

Tylko dal, tylko głąb, tylko cisza... jasna,
Tylko wieczność... Więc poco słowa?
W lazurowe bezdroża nas woła wiosna,
I pragnienie życia odżywa.

I ziemia — narzeczona w mleczystych kwiatach
Jabłonkowo różowych sadów —
Mdleje słodko w jasnych wonnych miodach świata,
W pierwszą okiść swe piękno składa.

III.

I dnie płyną — melodją w błękity,
A dnie dzwonią tak, jak złoto w lazurze,
I wiecznością trwają ziemi mity,
I w spokój wtopione są dawne burze,
I oceanem zajaśniała wyż.
I cisza, cisza. Tylko w wiśniach białych
Pobrzęk pszczół spłynął szemrząc z kwietnych kruż
W jeden choral rozkoszny i omdlały.

Przetłumaczył z ukraińskiego **Ludomir Rubach.**

JAKÓB BART-CISZINSKI.

NIE CHODŹ KU WODZIE!

Wśród wzgórz jezioro. Dumnym pierścieniem
Skuły je jodły, patrząc w zwierciadło,
I kołysankę szumią milczeniem
Półsennym falom. Zaklęcie padło...
Jak w bajce płyną świateł powodzie; —
Nie chodź ku wodzie!

Białe obłoki snują się na dnie,
Gwiazdy z falami grają w kołysie,
Biały im księżyc blask z niebios kradnie
I jako brylant płat wody skrzy się,
Myśl obłąkała się w szklanym grodzie; —
Nie chodź ku wodzie!

Biała mię róża zwie do jeziora,
Czar w falach drzemie i bór obsiada,
Wrota otwarto naścież i z dwora
Cudnych rusałek zbiega gromada.
Świat zamarł, tonąc w bożek urodzie; —
Nie chodź ku wodzie!

Jak lód na słońcu myśl we mnie taje,
Oko się mąci, krew w żyłach bucha,
Stopa już muska nieznane raje...
Kto mi przestrogę szepnął do ucha?
Skąd ciało w nagłym wstrząsło się chłodzie? —
Nie chodź ku wodzie!

Przełożyła z łużyckiego **Julja Wieleżyńska.**

NA FALACH CZASU

Wśród wielkich nadziei otwierana w Londynie konferencja gospodarcza została odroczona w nastrojach wręcz pogrzebowych. Zajrzyjmy jednak na salę obrad.

Na południowym zachodzie Londynu, między Muzeum Nauk a Muzeum Indyj, wznosi swój biały blok, opasany u góry cegłami Muzeum geologiczne, siedziba konferencji nieopodal ogrodów zacisznych i pachnących, należących do niańek i jamników szkockich.

Pod płóciennym okapem stoją wartownicy w hełmach, policjanci tak sztywni, że zdają się zrobieni z drzewa. Na parterze znajdują się biura informacyjne: poczta, telegraf, szatnie. Na pierwszem piętrze — sala „straconych zachodów", gdzie przed i po posiedzeniach wieża Babel paple, gdzie fotografowie uwijają się między grupami delegatów, otoczonych ekspertami i rojem dziennikarzy.

Oto p. Neville Chamberlain, flankowany przez sir Johna Simona i p. Rucimana; brak tylko lorda Hailshama, aby delegacja angielska znalazła się w komplecie. Senator amerykański Cordell Hull mógłby ujść za lekarza prowincjonalnego, z torbą na instrumenty w ręku. Idą za nim senator Pittman z Nevady, władca kopalń srebra. Oto p. Jung, nie znakomity psychoanalityk z Zurichu, lecz włoski minister skarbu. Doktór Schacht przybywa z opóźnieniem. Generał Smuts, z siwą szpicbródką, wysiada z samolotu. Kulisty p. Litwinow ze swą wielką teką (niesposób wyobrazić sobie bolszewika bez teki) węszy zbliska kapitalizm, a maleńki doktór Dollfuss, kanclerz, którego prasa angielska nazywa „kieszonkowym Napoleonem Austrji", zdaje się chcieć wydobyć pieniądze z portfelu p. Jerzego Bonneta, delegata francuskiego, sunącego zwolna (z kosmykiem, opadającym na czoło i pogodnem okiem) między ekspertami Parmentier'em i Rueff'em. Na ostatniem piętrze, zdala od strategji międzynarodowej, schroniło się biuro, gdzie pp. Avenol i Hugenberg, niewidzialni, opracowują plan konferencji. Atmosfera ta sama, co w Genewie, ale rytm pracy jest szybszy: przemówienia nie mogą trwać, więcej niż kwadrans i ich przekłady pisane krążą w czasie, kiedy je wygłasza mówca, którego słowa mikrofony roznoszą po zielonej sali.



Hitler „przyjacielem" żydów.

Niewyraźni widzowie, podobni do powierników tragedji, czają się koło okien, podczas gdy reszta miota się, zapuszcza sondę, stara się narzucić swój punkt widzenia. Amerykanie myślą o taryfach, Francuzi o stabilizacji, Anglicy o długach.

Początek konferencji był spokojny. Każdy przemawia z akademicką konsekwencją swego świętego: Kanada opętana problemem swego zboża, żądała podniesienia cen światowych; Meksyk przemawiał za rehabilitacją parytetu srebra; Peru błagało o kapitały; Grecja waliła pięścią w barjery celne wielkich państw, podczas gdy Nowa Zelandja usprawiedliwiała swą politykę ochronną, Gdy Turcja szczyciła się punktualnością w uiszczaniu długów, gdy Chiny utyskiwały na swe osamotnienie. Im mniejsze państwo, tem szersze i śmielsze kreśliło obrazy odbudowy świata: Irlandczycy śpiewali hymny na cześć harmonji międzynarodowej, a republika San-Domingo rozsnuwała olbrzymi plan zrównoważenia sił uniwersalnych.

Potem nadeszła płatność 15 czerwca. Podczas gdy ów kraik bałtycki skromnie wykładał swoje pięć tysięcy sześćset dolarów, Anglja ofiarowała dwa miljony

funtów. Aby je zrealizować, wystarczyło jej sięgnąć do rezerw Indyj. Z kas inkrustowanych masą perłową, z zamczysk maharadżów, ze schowków wydrążonych w cysternach lub ogrodach Agry, z poza bronzowych posągów Sziwy, z pod piedestałów sturękiego Wisznu, ze szczytu marmurowych schodów pałacu w Benares — popłynęła struga złotych rupij, która, skondensowana w szluzach Londynu, skierowana została na New-York.

Jeśli Anglja płaciła mało, to Francja wciąż nie płaciła wcale. Czego żądali przybyli do Londynu przedstawiciele Stanów Zjednoczonych? Aby Europa podupadła, uiściła należność, nie dyskutując jej zasad słuszności. P. MacDonald przyrzekł zrazu nie wspominać wogóle o długach; otóż potrącił o nie z miejsca w mowie inauguracyjnej. Skoro więc Europa nie dotrzymuje swych zobowiązań, czy pozwoli przynajmniej na dewaluację dolara? Wszelako, Francja, mało że nie płaci, kusi się jeszcze o zatrzymanie dolara na jego równi pochyłej i żąda stabilizacji niewczesnej i przedwczesnej! Stąd przystęp złego humoru i gwałtowna reakcja Wall Street, której zamknięcie giełdowe było brutalne. Elaborat specjalistów, pp. Montagu Norman'a, Moreta i Harrisona, mozolnie opracowywany od przedednia konferencji, to znaczy od niedzieli 11 czerwca, leżał, strzaskany na tysiąc kawałków. Osławione „gentleman agreement" trzech skarbów, rzucone na flukta Atlantyku, unosiło go z nurtem.

Tak Paweł Morand kreśli niefortunną ewolucję Konferencji Londyńskiej.

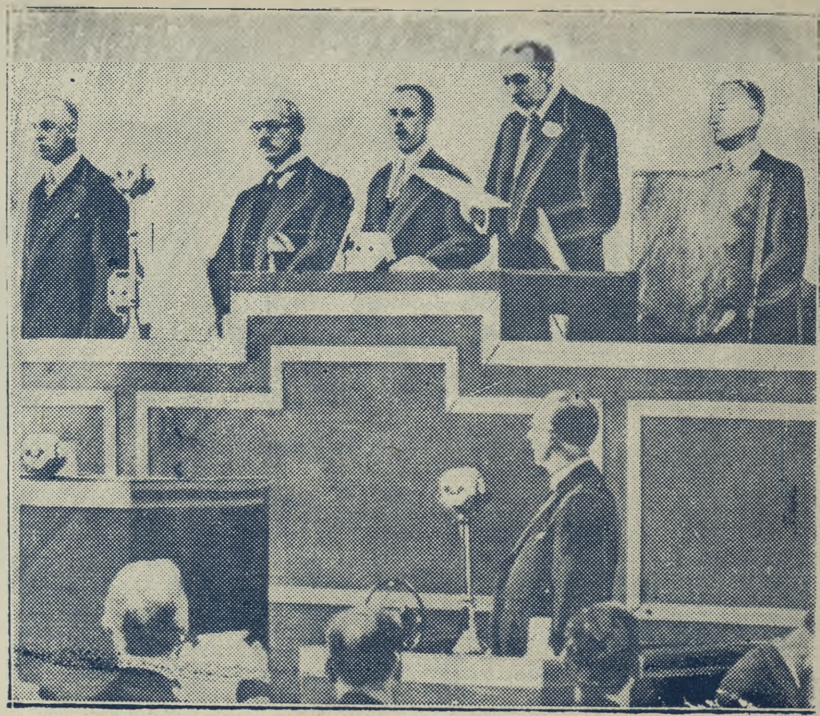
Smutny wynik konferencji londyńskiej jest przedewszystkiem dziełem Ameryki, która ponownie ogłosiła światu, że nie chce go ratować z jego bankructwa. Ogłosiwszy ten bezlitosny wyrok, prezydent Roosevelt udał się najspokojniej w świecie na wywczasy. Dziś można oglądać, jak kąpie się w basenie, z uśmiechniętą twarzą, grając w piłkę. Szczęśliwiec... Lecz i w Ameryce nie jest najlepiej. Stosunki finansowe nie zostały jeszcze uporządkowane. W tych czasach kryzysowych dzieją się rzeczy, które, ani filozofom się nie śniły, ani nawet... bankierom.

W stanie Arizona pewien czystej krwi Indjanin ze szczepu Pimy potrzebował niedawno gotówki. Udał się tedy do banku w Casa Grande i poprosił urzędnika bankowego o pożyczkę.

Ile pieniędzy potrzebujecie — zapytał Indjanina bankier.

Chcę pożyczyć 200 dolarów! — odpowiedział Indjanin.

Na jak długo?



Otwarcie konferencji londyńskiej przez króla Jerzego.

Może na dwa tygodnie, może na dwa miesiące! — tłumaczył czerwonoskóry.

A jaką gwarancję możecie dać za pożyczenie tych dwustu dolarów? — zapytał dalej bankier.

Mam dwieście koni! — odpowiedział Indjanin.

Gwarancja dwustu koni czyli jeden koń za dolara, była zadowalniająca dla bankiera, więc czerwonoskóry obywatel pożyczkę otrzymał.

Wkrótce potem Indjanin przybył znów do banku z 2,200 dolarami przy sobie. Zwrócił bankowi pożyczkę z procentem, podziękował za usługę i zabierał się do wyjścia.

Zaczekajcie chwilkę! — zawołał za odchodzącym Indjaninem bankier. — Dlaczego nie ulokujecie dwuch tysięcy w banku na przechowanie dla zabezpieczenia swych pieniędzy?

Indjanin, słysząc o licznych upadkach banków w kraju, nie dał przez chwilę odpowiedzi, tylko patrzył bankierowi prosto w oczy.

Wreszcie zapytał:

A ile bank ma koni?

Komu i jak się powodzi, gdzie jeszcze można coś zarobić, i jak z tego wyżyć? — Oto palące pytanie dla wszystkich ras, narodów i zakątków ziemi. Na pytanie to postarał się odpowiedzieć pewien dziennikarz.

Nakładem firmy Harper w Nowym Jorku wyszła z druku książka, napisana przez angielskiego pisarza, sir Philipa Gibbsa, który powiada w niej, że gdyby na to przyszło, to wolałby zarabiać dolara dziennie w Awinionie lub w Monachjum, niż sześć dolarów dziennie w Pittsburgu, albo i choćby w takim Detroit. Pisze, że zjeździł wiele świata, patrzał na ludzi, — lecz nigdy nie widział, by posiadanie większych pieniędzy przynosiło ludziom to, co szczęściem nazywają. Robotnik angielski — powiada — wiele razy więcej zarabia od robotnika włoskiego. Lecz robotnik włoski zawsze przy pracy wyśpiewuje, podczas gdy robotnik angielski najczęściej klnie. — Dalej — w paryskiej kawiarni za kilka franków ludzie mają więcej radości życia przy winie, niż w amerykańskiej „spikizy" za dwadzieścia dolarów. W piwiarni monachijskiej za kilkadziesiąt fenigów człek może mieć nietylko kilka potężnych kufli zdrowego bawara, ale i gromadę przyjaciół wesołych i pełno piosenek, radosnych, wspólnie z nimi nuconych.

W Garmisch w Mittenwaldzie zarobki robotników nie są wysokie, ale za to ich domki czyste, lśniące, wybielone śmieją się wesoło do słońca, podczas gdy domy robotników amerykańskich wciąż osmolone sadzami nawet w tydzień po omalowaniu ich.

Na tem nie koniec. Gdzie ludzie mniej zarabiają, tam nauczyli się ze skromnych zarobków smaczniejsze i lepsze, a więc zdrowsze, przyrządzać potrawy.

Konkluduje, że zarobki nie powinny być mierzone ilością funtów szterlingów, lub dolarów, lecz siłą nabywczą dobrych i zdrowych rzeczy, tak chleba, jak przyjemności życiowych.

Z PIŚMIENNICTWA

„Droga" Wacławy Czechowskiej.

Szósty zbiorek poezyj Wacławy Grodzickiej-Czechowskiej każe już krytykowi zrobić bardziej szczegółowy obrachunek literacki jej twórczości.

Przedewszystkiem, wszystko jedno czy weźmiemy pierwszy czy ostatni tomik poetki, uderzy nas w nich trwała jednolitość myślowa i nastrojowa, treściowa i formalna.

Świadczy to zarówno o dość wczesnem osiągnięciu świadomego wyrazu poetyckiego jak o wierności ustalonym kanonom.

Być może dla czytelnika wynika stąd pewne niebezpieczeństwo znużenia. Poezje Czechowskiej mają bowiem przytem charakter refleksyjny, poetka dąży do wypowiedzenia pewnej treści programowej, filozoficzno-etycznej, pozostawiając nieco na uboczu zagadnienia formalne, poszukiwania nowego wyrazu poetyckiego, które przyniosły nam tyle ciekawych zjawisk i zdobyczy w ostatnich latach.

Refleksyjność poetyckiej postawy poetki, bardzo skondensowana i oszczędna w posługiwaniu się elementami fabulacyjnemi, a zwłaszcza metaforą nadaje tym zbiorkom specjalną cechę, niespotykaną w twórczości kobiecej, przeważnie rozlewnej, sentymentalnej.

Źródłem natchnień poetki była niewątpliwie nostaglja za Ojczyzną, skojarzona ciekawie z niepokojem metafizycznym.

Punktem wyjścia szeregu utworów jest abstrakcja, przez co poetka stwarza sobie niemałą trudność w konstruowaniu obrazów poetyckich.

Liryzm refleksyjny Czechowskiej czyni jej utwory niełatwemi w czytaniu.



Przy pewnem opanowaniu i zżyciu się z jej formą obrazowania, oschłą, rzeźbiarską raczej niż malarską, z melodyką wiersza daleką od łatwej śpiewności, zaplątaną w zbyt długich nieraz okresach — poczynamy powoli wczuwać się w atmosferę tej twórczości.

Poezje jej są spowiedzią duszy, uwięzionej w tęsknocie za daleką ojczyzną, w tęsknocie za światem wyższym, światem wiecznym, są próbą ustalenia swego stosunku do życia, do Boga, do ludzi.

Spowiedź ta posługuje się zapewne znanemi motywami i środkami poetyckiemi, włącznie do pisania pewnych słów wersalikami. Czyż jednak i z ogranych motywów, różnych cherubów, zórz, słońc i gwiazd nie można już wydobyć nowego tonu? Niewątpliwie można. Jeżeli do poezji romantycznej nawet ci, którzy ją przezwyciężali, jak Norwid, Wyspiański, niejedną dorzucili wartość — czyż można uważać za zupełnie niewłaściwie te próby nawiązywania do poezji passeistycznej, jak się to w podobnych wypadkach określa.

Pojęcie passeizmu jest zupełnie niewłaściwe w odniesieniu do odwiecznych zagadnień życia. Co do zaś t. zw nowej formy, którą ci i owi wysuwają jako znamię nowej poezji, to trzeba ostrzec przed szkodliwem nowatorstwem „za wszelką cenę".

Oczywiście odczuwa się dziś potrzebę pewnego odświeżenia metafory i nikt przeciw zdobyczom w tej dziedzinie nic nie powie. Tak samo i asonans nie budzi dziś już tak namiętnych sprzeciwów.

Czechowska unika np. aż nadto starannie assonansu, co zapewne w niejednym wypadku jest tylko zbędnym trudem, a pozbawia poezję jednego z jej uroków.

Wolno przypuszczać, że te rzeczy zostaną powoli załatwione, tak jak powoli poetka doszła do przezwyciężenia swej postawy nostalgicznej. Powrót do kraju, osiągnięcie tego co było marzeniem, pozwoliło zreasumować dawne stanowiska. Więc też poetka mówi już:

Jeżeli ziemi proch włosem zamiotę,
Albo w zadumie gdzie usta położę,
To nie w błaganiu i nie przez tęsknotę:
W uwielbień tylko hymnie i w pokorze.

A w innem miejscu zapewnia:

Wzbranialiście się przed mym bólem,
Lecz moje serce was dogoni —
Sercem was mojem przyniewolę,
Radością w was się rozszeleszczę:
Już płonąć wam, nie WIEDZĄC jeszcze...

Zapewniamy poetkę, że się nie będziemy wzbraniać jeśli uderzy potężnie i pięknie swą twórczością w nowy ton.

J. cki.

HUMOMR

W NOC ŚWIĄTECZNĄ.

Policjant: Proszę nie wyrabiać takich hałasów, wracając do domu!

— A kto papa...nu powiedział.. żeże... wracamy do domu?

MĄDRY FRANEK.

Franek przyniósł list bez adresu. Pocziarz go pyta, czemu adresu nie napisał, a ten odpowiedział.

— Bo nie chcę, żeby każdy wiedział do kogo ja piszę.

W SKŁADZIE APTECZNYM.

— Panie aptekarzu, proszę za 20 groszy maści na obolałe miejsce.

— A gdzie cię boli, mój mały?

— Tu... pokazuje chłopiec.

— O, biedaku! Musiałeś pośliznąć się na lodzie i upadłeś?

— E, nie — odpowiada chłopiec — miałem porachunki osobiste z tatusiem.

ZROZUMIAŁE.

Mały Jaś wchodzi do klasy płacząc: nauczycielka go pyta, co mu jest.

— Pszczoła mnie ukłuła, pani profesorko.

— Co ty mówisz, gdzie?

— Tego nie mogę powiedzieć...

— No to siadaj!

— Tego też nie mogę zrobić.

TYDZIEŃ ŻYCIA W SOWIETACH.

Humorystyczne pisma sowieckie podają następującą satyrę: Urodził się w poniedziałek, zameldowano go we wtorek, aresztowano we środę, osadzono we czwartek, przewieziono do G. P. U. w piątek, rozstrzelano w sobotę, zakopano w niedzielę. Naprawdę trzeba mieć bardzo małe poczucie humoru, by nie śmiać się z rzeczy tak „wesołych". Rzeczywiście jest w Sowietach „raj".

Z TEATRU

„Pocałunek przed lustrem" Fedora, wystawiony w teatrze Narodowym, jest nowym dowodem upadku jeśli już nie dramaturgji współczesnej wogóle, to niewątpliwie pierwszej naszej sceny w kraju.

Trzeba stwierdzić, że repertuar teatrów naszych w ostatnich latach zeszedł dosłownie na psy (w sztuce „Ten stary warjat" bohaterem jest handlarz psów). Najwyższa skala zainteresowań kierowników literackich i dyrektorów sięga do sztuk wyłącznie sensacyjnych, kryminalno-kabaretowych. Wytworzyła się tu jakaś psychoza. Na konkursie, ogłoszonym przez teatr Związku Artystów (który dzięki Bogu upadł zanim powstał; byłaby to niewątpliwie nowa szmira i przybytek „artystycznego" skandalu), wyróżniono wyłącznie sztuki, sądząc po tytułach, o charakterze „lekkim", widowiskowo-szmoncesowym. Może się mylę? Może dziś powaga szuka takiej kryptoformy? Konkurs ten był zresztą swego rodzaju szopką — istna parodja konkursu. Wystarczy choćby zwrócić uwagę na nagrody. Z obiecanych tysięcy każdy z „nagrodzonych autorów" dostał m. w. po dwieście złotych. Czyste kpiny Jedynem usprawiedliwieniem może być bankructwo Związku: jak widać materjalne i ideowe zarazem.

Ale wróćmy do tego pocałunku Judasza, przepraszam Fedora, złożonego na twarzy teatru Narodowego. Po „biciu po twarzy" teatr Narodowy nabrał już widać wprawy w tego rodzaju fetorycznym repertuarze, stąd nie należy się za bardzo dziwić.

Historja pocałunkowa jest makabryczna i niesmaczna, że trudno o coś gorszego. U pewnego adwokata zjawia się żonobójca. Opowiada on okoliczności czynu w sposób literacki. Pewnego popołudnia zastał żonę ubierającą się przed lustrem, chciał ją pocałować, nie pozwoliła, wołając: „zetrzesz mi puder"! Po chwili wyszła. Jej zachowanie się, intonacja jej głosu nasunęły mu podejrzenie zdrady Bierze więc rewolwer, podąża za nią skrycie, chwyta in flagranti, strzela, zabija.

Nasz adwokat zasugestjonowany tą historją wraca do domu i tu kubek w kubek powtarza się to samo. Żona stroi się przed lustrem, chce ją pocałować ona się oburza, po chwili wychodzi na miasto. „Niestety" — nasz adwokat nie ma rewolweru... Co prędzej więc idzie postarać się o pozwolenie na broń, a zemstę nad niewierną odkłada do chwili wyniku powierzonej sprawy o żonobójstwo. Wygłasza „płomienną" (zresztą lichą, sądząc ze sceny) mowę. W czasie jej wygłaszania mierzy nawet „dla efektu" w pierś żony, siedzącej na sali sądowej. Sąd klijenta uwalnia. Co teraz? Zabije czy nie zabije? Otóż nie! Ma bowiem wątpliwości, czy sąd po raz drugi wyda wyrok uniewinniający żonobójcę, w tym wypadku jego samego. Nie ufa „celności i sprawności" swego adwokackiego talentu. Zabić łatwo, wygrać? A zresztą, gdyby go uwolniono, to przecież byłaby „obraza" sprawiedliwości.

W ten oto „sposób" sprawa zostaje załatwiona. Po „Adwokacie i różach" Szaniawskiego, nie dziwi nas wcale ten „adwokat i rewolwer". Zaczynamy się już przyzwyczajać do illogiczności i immoralizmu palestrantów z desek teatralnych. Widzimy choćby ze sztuki Hofmokl-Ostrowskiego, że ze sprawiedliwości zrobili oni żonglerkę i „zabawkę", którą się puszcza w ruch w miarę potrzeby, upodobania, humoru i bezczelności.

Sztuka Fedora jest tak banalna i trywialna, że oburzyła nawet Boya-Żeleńskiego, który zaprotestował przeciw tym „rewolwerowym" metodom załatwiania konfliktów małżeńskich. „Są — powiada — inne sposoby". Jakie? — Może rozwód. Dla Boya jest to sprawa „łatwa".

Tego rodzaju „ułatwianie" życia wydaje nam się w swych wynikach równie niebezpieczne jak owe „rewolwerowe metody". Nie będziemy tego dowodzić gdyż nie jest miejsce na to w recenzji teatralnej.

ZE SZTUKI

Wystawa w IPS'ie przynosi nam ciekawą illustrografję Kazimierza nad Wisłą, w ujęciu zarówno dawnej szkoły od Vogla i Wyczółkowskiego począwszy jak i nowej „szkoły warszawskiej" uczniów prof. Pruszkowskiego. Wśród nich mamy kilka mocnych talentów, żeby tu wymienić Arcta, Hufnaglównę, Litauerównę.

Kazimierz przedstawiony na podstawie wizji lokalnej urządzonej przez tę szkołę, świeci jakąś mistyczną pięknością przedewszystkiem w obrazach samego Pruszkowskiego. Są to mistrzowskie pejzaże „dalekiej przestrzeni i wysokiego nieba", jak ktoś określił, ujęte w wesołej biało-różowej tonacji. Poezja czystej wody wyłożona w kilku konturach i barwach, przymglonych, niekonkretnych, zjawiskowych. Jakiś „sen malarza o pejzażu". Zwarty, konkretny, aż brutalny jest za to Skoczylas Patrzy on okiem ironisty na walące się budy żydowskie, co przysiadły u stóp góry i oblepiły wroniemi gniazdami jej zbocze. Całość tej wizji już nie poety, lecz inspektora sanitarnego zatopiona jest w sino-fioletowym, trupim odcieniu nadając temu spiętrzeniu chaotycznych, rozsypujących się kształtów charakter makabryczny, jak powiedział pewien złośliwiec, „nalewkosko-dantejski".

Oczami dramaturga spogląda Arct na Kazimierz, przykryty kloszem „nieba przed burzą". Interesujące efekty światłocieniowe i kolorystyczne wydobyte zostały bardzo zręcznie i rzetelnie. Zastrzeżenie budzi może partja zieleni na pierwszym planie.

Są także i inni jak np. Korzeń, podchodzący w sposób wybitnie deformacyjny do swego malarskiego zadania.

Pozatem gości w IPS'ie grupa „Kolor", złożona z bardzo niepodobnych do siebie malarzy. Mamy tu „rytmistę" Zbigniewa Grabowskiego, urodzonego kolorystę z pewną skłonnością, zresztą bardzo ciekawą do watowania kształtu bryły, do operowania dziwnemi nabrzmieniami formy, mającemi wyobrażać syntezę rytmu jej ruchu. Wspaniała klarowność koloru wynagradza w zupełności tę ekstrawagancję utalentowanego malarza. Na przeciwnym biegunie postawiłbym wybitnie mózgowego formistę, rozkochanego w linji, Leona Chwistka. Teoretyk formizmu niewątpliwie rozumie rysunek, niedostatecznie natomiast radzi sobie z bryłą. Stąd wszystkie jego rzeczy są raczej płaskie, dekoracyjne — możnaby powiedzieć niezupełnie ściśle.

Są tam wreszcie malarze — nie będziem ich wymieniali — którzy malują coś w rodzaju wzorów na tapety i zaprawy ścienne. Jakiego rodzaju jest ta „sztuka" nie podejmujemy się określać. Niektóre zestawienia kolorystyczne są tak jaskrawe i krzykliwe, że widza zaciska aż „w dołku". Zupełne zaniedbanie kształtu, zlekceważenie perspektywy, nieznośna poza „oryginalności", wszystko to robi chwilami wrażenie prób z „kajecika 5-letniego Kazia" Na tej drodze niewątpliwie nic ci malarze nie zbudują. Nawet „Franaszek" nie zainteresuje się ich twórczością.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Fałszywa swoboda umysłu i zbyteczne ufanie samemu sobie, wielce się sprzeciwia Niebieskiemu nawiedzaniu.

Bóg wielkie dobro czyni człowiekowi, dając mu łaskę pociechy; lecz człowiek źle czyni, gdy nie za wszystko Bogu dziękuje.

I dla tego, dary łaski Bożej, obficiej na nas nie spływają, że względem ich Dawcy niewdzięczni jesteśmy, i że nie wszystkie te dary odnosim do ich pierwotnego źródła.

Zawsze bowiem, łaska należy temu, kto za nią wdzięcznym być umie; i zwykle Bóg odejmuje ją pysznemu, a daje pokornemu.

Tomasz à Kempis.
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa

DROBNE SKŁADKI NA WIELKIE CELE

Miłosierdzie w Polsce nie jest uczuciem nieznanem, wyrazem martwym.

Ono jest codziennym objawem dobroci ludzkich serc. Długie szeregi „ofiar", jakie ogłasza prasa codzienna, a zwłaszcza przodujący w tym notowaniu „Kurjer Warszawski", świadczą, że nie brak nam ludzi czułych na ludzką niedolę. Nie brak czujnych obywateli, wspierających instytucje bądź humanitarne, bądź naukowe, nie brak cegiełek, z których powstają cenne środowiska poważnej pracy.

A jednak, mimo to, że wszystkie rubryki, mają nazupełniej umotywowany cel działalności, że wszystko jest najgodniejsze poparcia, brak w tem jakiejś ogólnej myśli brak twórczej organizacji i jeszcze czegoś, o czem właśnie mówić chcemy i na co zamierzamy położyć główny nacisk: brak: drobnych, tych drobnych składek, z których bez wysiłku mogłyby powstawać miljony, gdyby to było ujęte planowo, wytrzymane, systematycznie pilnowane i ściśle liczone.

Niedawno w Warszawie powstała instytucja błogosławiona, dla ratowania cierpień ludzkich, dotkniętych tak ciężką chorobą, jaką są złośliwe nowotwory — Instytut Radowy, wzniesiony ku uczczeniu imienia sławnej naszej uczonej, nosi napis: Marji Skłodowskiej-Curie — w hołdzie — Naród.

A tymczasem, jeśliby kto chciał sprawdzać, jak się zaznaczyła ofiarność „narodu" przy postawieniu wspaniałych budynków, miljonowej dziś wartości — to zauważyłby dużą ofiarność państwa, rządu, miasta, wydajną ofiarność obywateli pojedyńczych, dary Ameryki, nie głuchej nigdy na wezwanie w konkretnych naszych zamierzeniach, wreszcie kilkaset tablic, utrwalających imiona stu-złotowych ofiar, darowizna grama radu, równająca się setkom tysięcy złotych, przez p. Skłodowską-Curie, ale, napróżno szukałby — „narodu", to znaczy — tych właśnie ludzi, którzy, nie mając do rozdania nawet złotówek, nie cofnęliby się przed daniem 5, 10, 20 groszy, co w miljonowych notatkach ich imion, stworzyłoby dopiero dar — narodu! A dokumenty tej ofiarności, składane w archiwach Instytutu, jakiemuś badaczowi historji, naszych poczynań, dostarczyłyby istotnego dowodu, usprawiedliwiającego piękny napis szczytowej ściany budynku: „naród w hołdzie".

Wprawdzie, w tym wypadku łatwo to dopełnić. Pawilon naukowy, wymaga jeszcze dużo nakładu, nietylko pracy, ale i pieniędzy. Więc już czytamy w rubryce „ofiar" raz wraz notatki: „ze składek 20 groszowych" tyle i tyle. A administracja Instytutu objaśnia nas, że te drobne rubryczki w sumie są dość wydatne. To nas właśnie skłoniło do wezwania naszych Czytelników i Czytelniczek, aby, nie czekając na możność dawania wydatnych sum na cele społeczne, składali owe 5, 10, czy 20 groszy nie więcej — byle wszyscy. Tyle jest potrzeb, tyle prac czeka na pomoc naszych groszy, tyle niezbędnych do wykonania zamierzeń.

Towarzystwa naukowe, instytucje humanitarne, a jest dziś ponad wszystko ważne i pilne, natychmiastowo żądające naszej pomocy — wybrzeże morskie!

Kutry i dryflery rybackie, statki handlowe i pasażerskie i... o wstydzie dwudziestego stulecia! łodzie podwodne i statki pancerne, bez których nie możemy spokojnie zasypiać, dopóki one nie będą strzegły tej bramy, która daje nam wylot na cały szeroki świat, ale u progu której czai się sąsiad wrogi, nie uznający innej tamy do czyhania na cudzą własność nad wymowę strzałów armatnich.

Składajmy drobne datki, składajmy stale, ciągle 5 groszy miesięcznie, ale wszyscy. — Jest nas w Polsce 32 miljonów, poza granicami Polski, jest nas rozsypanych, niby piasek morza, siedm czy więcej miljonów. Jakieby to sumy rosły i jakie urosną, jeżeli skrzętne ręce kobiet polskich ujmą ten projekt, gorącem serc swoich go ogrzeją i zorganizują 5-cio groszową narodową składkę na stworzenie pełnej polskiej floty, na co czeka od narodu Liga Morska i Kolonjalna, dająca w swej organizacji najwyższy wysiłek obywatelskiej pracy.

L. Kotarbińska,
Przewodnicząca Sekcji Kobiet Ligi M. i K.

DOBRE DAWNE CZASY

Kto dziś wspomina średniowiecze i chwali dawne dobre czasy, może łatwo popaść w opinję zacofańca, zwłaszcza jeśli ma na myśli życie religijne. A okazać się zacofanym, to przecież rzecz przykra!

Trzeba przyznać, że niezadowolenie z obecnego położenia i teraźniejszych stosunków, może nas łatwo uczynić niesprawiedliwymi w ocenianiu naszych czasów. Jest to zresztą całkiem zrozumiałe. Jeśli się bowiem z oddalenia patrzy na rzeczy minione, występują one dla nas w świetle jaśniejszem — choćby dlatego, że są odległe. Ale i to pewne, że świat dawniejszy był w sprawch religijnych — nie mówimy tu o innych sprawach — daleko lepszy. Życie religijne było o wiele głębsze, duch wiary silniejszy. Przeglądając karty historji średniowiecza, natrafiamy na dowody tej wiary prawie na każdym kroku.

Król francuski Ludwik XI (1461—86) wydał rozporządzenie następującej treści: „Wszyscy Francuzi: rycerze, żołnierze, mieszczanie i lud obowiązani są na głos dzwonu w południe upaść na kolana, uczynić znak krzyża i odmówić Anioł Pański w intencji utrzymania pokoju".

Co to były za czasy, kiedy takie prawa królowie wydawali, a wszyscy je sumiennie wykonywali! Jest to bowiem historycznie stwierdzone, że nie było wówczas we Francji żadnego człowieka któryby na odgłos południowego dzwonu, gdziekolwiekby się znajdował, w domu, na polu, czy na ulicy, nie ukląkł i nie odmówił tych „Zdrowaś Marja" ku czci Bogarodzicy.

W Hiszpanji również podobne panowały zwyczaje. Na odgłos dzwonu przerywano pracę, przestawano rozmawiać i każdy w skupieniu odmawiał „Anioł Pański". Praktykowano to nawet w armji. Jak tylko rozległ się głos dzwonu, natychmiast padała komenda: „do modlitwy!".

Ta głęboka, wprowadzająca religję w życie codzienne wiara zachowała się w Hiszpanji aż do naszych czasów. W r. 1912 zmarł w mieście Santander słynny na całym świecie uczony de Pelayo. W swoim czasie kiedy uczony ten habilitował się na profesora uniwersytetu w Madrycie, habilitacyjny wykład rozpoczął on od znaku Krzyża św.

Kiedy Krzysztof Kolumb wybierał się na wielką morską wyprawę, statek, na którym sam stanął, ochrzcił imieniem: „Santa Maria". Wprost dziecięca miłość ożywiała duszę tego wielkiego człowieka. Gdy po długich trudach dobił wreszcie do pierwszej wyspy na bezmiernym oceanie, wyspę tę nazwał „San Salvador" — „Wyspa Zbawiciela".

Geramb, znany przeor trapistów — w świecie generał broni — podczas podróży do Ziemi św. spotkał się na włoskim statku, na którym podróżował z zwyczajem, który w dawniejszych czasach był ogólnie przyjęty na wszystkich statkach. Każdego wieczora, kiedy zaczynało się zciemniać, wychodził na pokład najmłodszy z majtków i wołał: „Zagaście ogień, a zapalcie latarnie w imię Jezusa Chrystusa i Jego świetej Matki, aby nas doprowadzili bezpiecznie do portu. Jeżeli Bóg zechce, zachowa nas w zdrowiu i powodzeniu w czasie tej podróży. Zmówcie Ojcze nasz i Zdrowaś za dusze w czyśćcu o szczęśliwą drogę!"

Był to zapewne stary zwyczaj, którego się nie wyzbywano chociaż go już nie przestrzegano, bo żaden z marynarzy nie zabrał się do modlitwy. Zastanowiło to zakonnika Podszedł więc do kapitana z wymówką, lecz ten usprawiedliwiał się, że nie wymaga od marynarza wypełniania owego zwyczaju, by uniknąć drwin ze strony pasażerów. Na to odparł o. Geramb z właściwą sobie wojskową stanowczością: „Jutro jest święto Narodzenia Matki Boskiej, wobec tego ja zacznę odmawiać modlitwę, a nikt się nie ośmieli na żarty".

Nazajutrz uczynił rzeczywiście jak zapowiedział. Odmówił głośno modlitwę, a wszyscy obecni wysłuchali jej z powagą.

Znana jest odezwa do rycerza, używana w dawniejszych czasach przy jego pasowaniu: „Weźmij ten miecz w imię Boga i Matki Jego, i nie używaj odtąd żadnego innego!"

Opowiadaniami tego rodzaju możnaby zapełnić całe tomy. W dawniejszych czasach bowiem uważano za rzecz zupełnie naturalną wprowadzenie wiary i religji w zwyczaje życia domowego i publicznego. Pod tym względem zmieniło się rzeczywiście obecnie wiele rzeczy na gorsze.

W dawniejszych czasach, kiedy nie znano jeszcze otwartego zapierania się Boga, otwartej wojny przeciwko religji, otwartego zrywania z wiarą, kiedy nie słyszano o bluźnierczych świętokradztwach, o bezwyznaniowych szkołach o mieszanych małżeństwach, o rozwodach i całym szeregu modnych obecnie występków, można było wiarę swą głośno wyznawać. Niestety, dzisiaj przychodzi to coraz to trudniej.

Zato życie rodzinne może i powinno i dzisiaj być przesiąknięte nawskroś duchem religji, a staranie o to leży przedewszystkiem w zadaniach i obowiązkach matki. Matka prawdziwie pobożna i religijna nadaje piętno całemu domowi. Wystarczy przestąpić próg mieszkania, aby się o tem przekonać. Gdzie niema na ścianach religijnych obrazów, jeno modne, pobudzające zmysły malowidła, gdzie obraz Zbawiciela usunieto do kuchni lub sypialni, a ściany salonów i gościnnych pokoi obwieszono półnagiemi postaciami, tam nie znajdziesz matki ożywionej duchem wiary...

Bardziej jeszcze winno się życie religijne objawiać w wychowaniu rodzinnem.

Nowoczesne wychowanie stara się odsunąć od umysłów młodzieży jak najdalej wszelkie czynniki nadnaturalne. Zniesienie kar, odrzucenie rzekomo przestarzałych pojęć o czystości obyczajów, usprawiedliwienie chęci zmysłowego użycia, daleko idące i niczem nieskrępowane wczesne uświadomienie seksualne — oto powszechne dzisiaj kierunki w wychowaniu dzieci.

Dziecko potrzebuje ideałów i jasno wytkniętych celów. Te zaś są nierozłączne z religją i pojęciem Boga. Bez Boga brakuje też wychowawcom należytej powagi i autorytetu. Rodzice, usuwający z wychowania Boga, niszczą sami dzieło, nad którem zamierzają pracować.

Błedem też byłoby twierdzić, że natura sama jest najlepszą wychowawczynią i wie do czego prowadzi. Byłoby naiwnością odwoływanie się do systemu naturalnej reakcji Rousseau'a, który okazał się równie niemądrym jak szkodliwym w skutkach Nie wystarczy też samo poczucie obowiązku, lub „kategoryczny imperatyw" Kanta.

Najgorszą jednak rzeczą w wychowaniu, to dawanie złego przykładu. Dzieci idą za przykładem rodziców i naśladują to, co widzą. Stąd w tym ostatnim punkcie ciąży na rodzicach ogromna odpowiedzialność.

PRACA KOBIET W PRZEMYŚLE A DOM RODZINY ROBOTNICZEJ

Temat, wskazany w tytule, był przedmiotem obrad międzynarodowego kongresu katolickich stowarzyszeń i działaczy społecznych, zwołanego z inicjatywy organizacyj francuskich do Paryża w czerwcu r. b. Jest on według założeń swych organizatorów jednym ze środków międzynarodowej akcji katolickiej stawiającej sobie za zadanie urzeczywistnianie wskazań, zawartych w encyklice Ojca św. „Quadragesimo anno", gdzie z wyżyn Stolicy

Apostolskiej wskazano groźne wyniki dezorganizacji życia rodzinnego przez te warunki, które zmuszają matki rodzin do pracy pozadomowej wobec tego, że zarobki ojców nie starczają na minimum egzystencji, nie mówiąc już o minimum kultury życia.

Zgodnie z temi wskazaniami katolicka akcja międzynarodowa idzie w kierunku uwolnienia kobiet-robotnic z przymusu porzucania domu, dopominając się dla sfery robotniczej „prawa wychowania dzieci przez matki".

Kongres ma — na podstawie materjałów, zebranych przez stowarzyszenia katolickie różnych krajów — oświetlić wszechstronnie zagadnienie pracy kobiet w przemyśle, skutki, jakie ona pociąga za sobą z punktu widzenia zdrowia, dobrobytu i kultury rodziny oraz środki moralnego i ekonomicznego oddziaływania ku wyzwoleniu matek z pracy pozadomowej i uzdrowieniu życia rodzinnego przez jej powrót do domu.

Sprawa jest ogromnie ważna dla wszystkich krajów przemysłowych i uprzemysławiających się, — szczegółowy program kongresu wykazuje, że w pracach jego przyjmują udział najwybitniejsze osobistości katolickiego społeczeństwa Francji; a zgłosiły współpracę Belgja, Niemcy i Stany Zjednoczone.

Organizacje polskie otrzymały zaproszenie już od roku i w opracowaniu jest „raport krajowy" (uzgadniany z państwową inspekcją pracy) i wnioski z naszej strony.

Nasz współudział ma ważne znaczenie dla naszej propagandy zagranicą, na którą tembardziej w obecnych czasach musimy zwracać baczną uwagę.

Z. Zal.

ZJAZD NARODOWEJ ORGANIZACJI KOBIET

Mimo ciężkich warunków, doroczny Zjazd N. O. K. zgromadził w dniu 30 kwietnia b. r. liczne grono delegatek Narodowej Organizacji Kobiet z całego kraju.

Zebranie rozpoczęto Mszą św. o godz. 9.30 rano, odprawioną w kościele św. Anny na intencję zjazdu przez ks. rektora Edwarda Szwejnica, który w gorących słowach wezwał członkinie do dalszej gorliwej pracy. W przepełnionej sali Stow. Techników o godz. 11-ej rano rozpoczął się zjazd zaszczycony obecnością J. Eksc. Ks. Biskupa Antoniego Szlagowskiego. Przewodnicząca wydziału wykonawczego p. Józefa Szebeko zagaiła zebranie, powołując na przewodniczącą p. Marję Holder-Eggerową, poczem zwróciła się do ks. biskupa z prośbą o przemówienie do zebranych. Podniosła mowa J. E ks. biskupa wywarła głębokie wrażenie na obecnych.

Po odczytaniu sprawozdania z działalności, sprawozdania kasowego i protokułu komisji rewizyjnej p. Pelagja Restorffowa wygłosiła referat „O znaczeniu rodziny", który wzbudził wielkie zainteresowanie i wywołał dyskusję.

Przed zamknięciem zebrania uchwalono szereg rezolucyj: 1) ostry protest przeciwko pogróżkom niemieckim, 2) zalecono członkiniom nietylko obronę ducha narodowego, ale handlu i rzemiosła polskiego przed nowym zalewem żydów, 3) dalszą pracę nad ulżeniem doli bezroboczych, 4) czujną opiekę matek w celu uchronienia dzieci i młodzieży od wpływów demoralizacji i pornografji szerzących się w zastraszający sposób, 5) opiekę nad emigrantami i żywiołem polskim na kresach oraz współpracę z Macierzą.

Wieczorem odbyło się liczne zebranie towarzyskie uświetnione śpiewem p. W. Łozińskiej i grą na skrzypcach p. Balińskiej-Tabęckiej, wykonaną z niebywałym wdziękiem. P. L Kotarbińska w zespole paru set kobiet, w gorącem przemówieniu, poleciła zebranym propagandę na prowincji spraw Morza, którego brama daje nam wylot na szerokie drogi świata dla naszego handlu i rozwoju przemysłu, ale u jej wrót, czycha drapieżna ręka wroga, którą odtrącić jest zadaniem całego narodu.

POMÓWMY O DZIECIACH

Szczęśliwe i pogodne dzieciństwo opromienia całe życie człowieka, wraca do niego wspomnieniem w ciężkich chwilach życia i niejednokrotnie daje mu siłę wytrwania i przetrwania. Nie skąpmy dzieciom naszym tych promieni słońca, które jesteśmy w możności im dać. Nie myślimy tu o spełnieniu każdej zachcianki dziecka, kosztownych zabawkach i strojeniu nad stan i potrzebę. Ale niech dziecko czuje, że kochające serca, które czuwają nad niem, chcą mu umilić każdą chwilę życia. Dziecko naogół ma wdzięczne serduszko i za dobre słowo i przychylne traktowanie odpłaca całą duszą. Błędem jest mniemanie, że odmawianie dziecku wszystkiego, hartuje je na przyszłość. Przeciwnie! Budzi tylko niezaspokojone pragnienia, które przy sposobności wetuje sobie w dwójnasób, dochodząc w tem często do karykatury. Ileż to skromnie wychowanych panienek, dorwawszy się jakiego takiego dostatku, trwonią i niszczą męża na przeróżne łachy i bezowocne przyjemności, gdy przeciwnie spotykamy ludzi wychowanych w rozumnym dostatku, którzy znalazłszy się w ciężkich warunkach (szczególnie teraz po wojnie) nietylko godzą się z losem i starają się ułożyć swoje nowe życie, lecz pogodnie a nawet z humorem znoszą jego ciężary, może właśnie dlatego, że mają poza sobą oparcie na wspomnieniach szczęśliwego dzieciństwa w domu rodzinnym.

Porządna czysta bielizna, ozdobiona hafcikiem lub koroneczką — to nie pomnaża zbytnio kosztów — niewymięte, dobrze dopasowane ubranko, nie rozwija próżności w dziecku, uczy je tylko schludności, ochędóstwa wokół siebie oraz poczucia harmonji i estetyki. Kosztowne zabawki, dawane przy uroczystych okazjach, nieraz z dużym wysiłkiem finansowym rodziców, mijają się zazwyczaj z celem i, powiedzmy szczerze, są raczej pewnem zaspokojeniem próżności rodziców, że ich dziecko posiada równie drogie cacka jak jego przyjaciel lub koleżanka. Dziecko cieszy się, ogląda i — wkrótce nudzi zabawką, bo albo jest za wielka do codziennego użytku, albo za kosztowna i trzeba ciągle uważać, by jej nie zniszczyć. Ileż zato radości może sprawić w deszczowe popołudnie arkusz kalkomanji, przyniesiony z miasta przez mamusię, lub piłeczka albo też inny drobiazg za parę groszy, który „sam wskoczył" do kieszeni tatusia, wracającego z pracy.

Mały Zbyszek marzył o samochodzie — „takim dużym". Ale gdziebyśmy taki duży postawili? — pyta matka — zająłby cały pokój i niemiałbyś się gdzie bawić! Zbyszek przyznaje słuszność mamusi, ale w głębi duszy marzy w dalszym ciągu. Pewnego dnia, gdy właśnie ustawiał żołnierzy w starem pudełku, zastępującem mu bardzo niedogodnie upragniony samochód, przyszła mamusia i postawiła przed nim małą drewnianą ciężarówkę. Zbyszek oniemiał, prawda, że samochód ten nie miał silnika, trzeba go było ciągnąć na sznurku, ale miał koła, był ślicznie kolorowy, mieścił w sobie wszystkich żołnierzy, reszcie dopomogła fanta-

zja i małe drewniane auto, podane w stosownej chwili, przesłoniło Zbyszkowi sobą najwspanialsze samochody świata i zaspokoiło gorące pragnienie.

Anusia ma praktyczną mamę, która ubiera ją stale w proste, ciemne sukienki. Dziewczynka jest już w wieku, kiedy mały człowieczek zaczyna porównywać i krytykować. Widzi swe rówieśnice ubrane równie skromnie a jednak — inaczej niż ona. Dlaczego? Budzi się bunt w sercu dziewczynki: jak będę duża — myśli — to dopiero będę się ubierała! Nie dba o sukienki, z satysfakcją niszczy je i plami. Zaczyna zwracać uwagę na stroje, robi się zazdrosna i dokuczliwa względem koleżanek. Zbiera od matki bury za niedbalstwo. Ale Anusia ma babcię, która obserwuje dziewczynkę i pewnego dnia, na imieniny, dostaje ona od babci dwie jasne kretonowe sukienki. Matka oponuje: poco? Szkoda jej dawać! I tak wszystko niszczy i brudzi! — Ale Anusia tych sukienek nie zniszczy. Dba o nie. Nacieszywszy się niemi, kładzie chętnie ciemną sukienkę do roboty i nauki, bo mogłyby się te jeszcze zniszczyć. Babcia odgadła żal dziewczynki i w porę potrafiła temu zapobiec. Może sama kiedyś taką „tragedję“ dziecinną przeżyła?

Trzeba dobrze znać swoje dziecko i wczuwać się w jego psychologję, by zrozumieć pragnienia dziecięcych duszyczek i umieć je zaspokoić. A to tak łatwo przychodzi! Trochę tylko uwagi i czasem własnych wspomnień, a zyskuje się wzamian słoneczną pogodę na buziach stworzonych do uśmiechu.

Ewa.

HAFTY W SANDOMIERSKIEM

Żyzna ziemia sandomierska, słynąca z bogatych urodzajów rolnych, dawała doskonałe warunki rozwoju kulturalnego ludności wiejskiej. Nic też dziwnego, że lud tamtejszy, rosły i urodziwy, ubierał się barwnie



Wyszycie na koszuli w Grębowie pow. Sandomierz.

i dostatnio. Sukmany mężczyzn z szarego, domowego sukna, zdobione bywały wyłogami szafirowemi i naszywane na rękawach, wzdłuż szwów, przy kieszeniach i kołnierzach grubym sznurkiem szafirowym lub czerwonym.

Kobiece stroje miały hafty i wyszycia na koszulach, fartuchach, spódnicach i chustach. Wyszycia te bywały w barwach czarnych lub czerwonych, ale nigdy nie łączono ich razem. Był również oryginalny haft biały, szyty do nitki, w rysunku zaś bardzo zbliżony do haftów z okolic Tomaszowa Mazowieckiego.

Na fotografji widzimy pas złożony z drabinki robionej do nitki wśród skręconych ślimaków, dalej dwie linje śpiczastych ząbków. Górne zakończenie deseniu tworzą stojące gałązki z potrójnych zakręconych ślimaczków. Drabinka szyta jest ściegiem płaskim do nitki na dziesięciu pasmach; reszta wzoru, to ścieg łańcuszkowy. Cały wzór wyszyty czerwoną bawełną Nr. 12 zwaną dawniej zapałem.

Drugi wzór szyty jest wyłącznie krzyżykami w kolorze czarnym. Wzór ten odrobiony jest z bardzo starej spódnicy, na której wyglądał jakby szyty brązową nicią. Po dłuższych badaniach doszliśmy do przekonania, że nić czarna była farbowana sposobem domowym w odwarze kory dębowej z dodatkiem sadzy drzewnej. W ten sposób farbowano przędzę lnianą w całej prawie Polsce.

Spotykamy bowiem to samo zjawisko w okolicach Kańczugi, Przeworska, Rzeszowa, w opoczyńskiem, sandeckiem i innych okolicach. Obydwa te wzory łatwe w wykonaniu nadają się do ozdoby sukien letnich uszytych z samodziału, na którym tak doskonale można wyszywać do nitki. Wzory krzyżykowe bywały najczęściej szyte czerwoną nicią, zaś wzory do nitki w kolorze czarnym lub czerwonym.

Gorsy koszul męskich zdobił najczęściej haft biały, bardzo estetyczny w rysunku. Niestety, wyszycia takie pojawiają się tylko w wioskach odległych od miasta i zanikają coraz bardziej. Za lat kilka pozostaną tylko w muzeach, jako zabytki dawnej kultury ludowej.

Starajmy się więc usilnie wydobyć te skarby sztuki hafciarskiej ludu naszego na światło dzienne i stosujmy je do ozdoby naszych sukien letnich, dla dzieci, na letniskach i w życiu codziennem. Stworzymy w ten sposób polski styl w hafcie, a możemy śmiało współzawodniczyć z haftami bułgarskiemi, subtelnemi wyszyciami z Rumunji i Czechosłowacji. Nie dajmy się nikomu wyprzedzić, gdyż mamy nieprzebrane bogactwo rodzimych wzorów.



Haft z Grębowa pow. Sandomierz.

Marja Stefkowa.

NASZE PENSJONATY

Jedną z najważniejszych spraw, jest znalezienie dobrego pensjonatu w czasie, przeznaczonym na wypoczynek.

Miejscowości mamy w kraju — bez liku, gdzie w doskonałych warunkach atmosferycznych odświeżyć można organizm, aby z nowym zasobem sił — wrócić do pracy.

Oczywiście nasze *Morze* jest najbardziej ponętnym celem letnich wypoczynków. Kto tylko ma na wydanie nadetatowe grosze, dąży nad Bałtyk. Jastarnia, Hel, Kamienna Góra, Gdynia, to miejsca spotkania z całej Polski ludzi, którzy chcą nietylko wypoczynku, ale pragną jeszcze i pragną swoim: *jestem*, zadokumentować, przynależność tych cudnych miejscowości do każdego z nas.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

Pielęgniarski kurs dla osób prywatnych wprowadził do programu swej działalności Zarząd Polskiego Czerwonego Krzyża. Jest to niezmiernie ważna i pożyteczna nowość. Dobre wyszkolenie prywatnej pielęgniarki, wobec zawodowej pracy kobiet, daje spokój o powierzonego jej pieczy chorego i pewność, że nakazy lekarza, wykonywane będą z całą nietylko sumiennością ale i umiejętnością.

56 zjazd naczelnej Rady harcerskiej. W dn. 12 ub. m. odbył się w Warszawie zjazd Rady naczelnej harcerskiej. Organizacja harcerek w dn. 1 stycznia 1932 r. liczyła 24.141 harcerek, w dn. 1 stycznia 1933 r. 36.363 — w tej liczbie instruktorek 571, starszych harcerek i harcerek 28.572, zuchów 7.220. Wzrost więc liczbowy organizacji żeńskiej obejmuje coraz więcej środowisk, których liczba wzrosła w ostatnim roku o 141. Akcja letnia wykazuje również z roku na rok znaczny wzrost przyczyniając się do podniesienia poziomu tężyzny, oraz wyrobienia, dzielności i zaradności życiowej wśród młodzieży. W roku 1932 zorganizowano 262 obozy, uczestniczek było 6.466

Z imprez o znaczeniu międzynarodowem była międzynarodowa Konferencja skautowa żeńska na Buczu.

Zjazd omówił szereg spraw aktualnych oraz wysłuchał referatu dh. J. Zwolakowskiej — na temat „Ruch Zuchowy".

Harcerstwo przystąpiło obecnie do organizacji „Fidac żeński" w Polsce.

NIEZBĘDNE INFORMACJE.

Poświęcenia „Domu Dziewcząt" i otwarcia zakładu wychowawczego dla małoletnich przestępczyń dokonał J. E. Ks. Biskup K. Niemira. Patronat nad zakładem objęło „Tow. opieki nad więźniami".

Kurs przysposobienia wojskowego kobiet, o ile nam wiadomo, skończył się 11-go czerwca r. b. Kandydatki na kurs muszą posiadać wykształcenie w zakresie 6-ciu klas szkoły powszechnej i ukończonych 17 lat.

Posiadanie broni bez odnośnego upoważnienia podlega odpowiedzialności karnej. Podania należy składać we właściwych starostwach grodzkich.

Ratunek Bazyliki Wileńskiej jest sprawą całego narodu. Składki bodaj najdrobniejsze winny płynąć stale.

Nauka gospodarstwa domowego na prowincji. Organizacje kobiece coraz szerzej zaczynają wprowadzać u siebie kursy gospodarcze, wzorowane na akcji Zw. pań domu. Ostatnio katolickie Stowarzyszenie Polek w Płocku zorganizowało kurs dietetyki i przyrządzania potraw na elektryczności. Mag. dietetyki — M. Morzkowska, zapoznała słuchaczki z umiejętnem przyrządzaniem pokarmów na kuchence i piecyku elektrycznym. Płock posiada duży zapas taniego prądu elektrycznego, który, jak dowiedzieliśmy się z pokazów, ma wielkie zastosowanie zarówno w racjonalnem przyrządzaniu potraw, jak również i w zastosowaniu do innych dziedzin pracy w gospodarstwie: demonstrowano grzejniki elektryczne, buljery, żelazka i inne przyrządy elektryczne, ułatwiające pracę pani domu. — Podkreślić należy zasługi inicjatorki kursu p. W. Grabowskiej, umiejętną współpracę członkiń oraz wielkie zainteresowanie uczestniczek i uczestników kursu.

WYDAWNICTWA KSIĘŻY PALLOTYNÓW.

„Mały Apostoł", pisemko dla młodszej i starszej dziatwy, polecamy naszym Czytelniczkom. Najtańsze pismo dla dzieci, bo kosztuje tylko 1.70 zł rocznie, a wiadomości ma bez liku. Starannie redagowane, ozdobione dobremi ilustracjami a nadewszystko, otoczone miłością przez „Starego Ambrożego", który ukochał dziatwę polską całem sercem i każdem słowem jej to okazuje. Każda matka winna mieć pisemko to w swym domu. Adres: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

„Królowa Apostołów", organ Stowarzyszenia Misyjnego Księży Pallotynów, daje niezmiernie interesujące objaśnienia z zakresu prac misyjnych. Informuje o życiu emigrantów naszych, rozproszonych po całym świecie. — Prenumerata roczna 2.40. Adres: Warszawa — Krakowskie Przedmieście 71.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Wandzie Wiel... w Opocznie. Roboty ręczne, zwłaszcza na prowincji, gdzie niema tak gorączkowego życia, jakiem jest życie w Stolicy, są nietylko rozrywką ale i pożytkiem. Wszelkich wzorów za bardzo przystępnem wynagrodzeniem dostarczy Pani nasza cenna współpracowniczka, p. Stefkowa Marja, której adres osobisty jest: Warszawa, Topolowa 5. Jeżeli Łaskawa Pani wprost zwróci się do p. Stefkowej, będzie sprawa załatwiona szybciej.

P .Wandzi L. z Płocka. Cieszymy się, że Pani była w szeregach skautek, która defilowała w Płocku przed reprezentantami Zjazdu Delegatek L. M. K. z całego kraju. Płock gościnnie i pięknie przyjął naszą drużynę, której było przeszło 300 osób. A niezliczona ilość dzieci szkolnych i młodzieży uczelni klas wyższych radowała serca swą tężyzną, ruchem i karną postawą. Niechże rozwija się i żyje z pożytkiem dla kraju cała młodzież Płocka! O korespondencję prosimy.

Matce... Tow. „Ratujmy niemowlęta" mieści się na Pradze, ul. 11-go Listopada. Drugie, w którem mają „Schronisko matki", przy ulicy Nowy-Świat 8/10, i tam już można otrzymać wszelkie informacje, dotyczące ratowania dziecka i matki od zagłady, wobec coraz cięższych ogólnych warunków egzystencji.

Panience... w Iłży. Zawód wybrać może tylko każdy sam dla siebie. Żeby miłej naszej Korespondentce radzić wybór kształcenia się w tej lub innej dziedzinie, i radzić dobrze, musielibyśmy znać jej usposobienie, upodobania, nawet jej fizyczność. Inaczej, musielibyśmy pisać ogólniki, które nieprzyniosłyby pożytku. W obecnej chwili wszystkie dziedziny pracy są dla kobiet przystępne. Jednak nie idzie zatem, żeby wszystkie były odpowiednie. I, dlatego właśnie trudno radzić na niewidziane. Handel, przemysł, ogrodnictwo, gospodarstwo domowe zarządy domów w mieście czy na wsi, pielęgniarstwo, bibljotekarstwo, tuziny specjalności w rzemiośle, sztuce i literaturze — wszystko to rozwija się, będzie rosło, da Bóg, więc jest w czem wybierać. Życzymy skupienia w obrachowaniu upodobań i sił a potem powodzenia i wytrwania.

KĄCIK DLA DZIECI

KAŚKA-SROCZKA.

Psotny, niedobry chłopak przetrącił skrzydło kamieniem sroce. Znalazły ją dzieci w ogrodzie napół żywą z bólu i strachu. Biedna sroczka, myśląc, że dzieci chcą ją ukrzywdzić, broniła się rozpaczliwie, przeraźliwie skrzecząc; ale Różyczka zdjęła fartuszek i zarzuciła na szamoczącego się ptaka i tak zawiniętego przyniosła do domu. Zbyszek i Krzyś szli koło niej, trzymając straż honorową. Mamusia opatrzyła złamane skrzydło ptaka, usłano sroczce gniazdko w pudełku, dano jej jeść i pić. Ptak z początku nieufny, widząc, że nikt mu krzywdy nie robi, oswoił się bardzo prędko. Skrzydło goiło się powoli, ale sroczka nie przejmowała się tem bardzo i powłócząc złamanem skrzydłem, skakała jak piesek za dziećmi. Nazwały ją Kaśką, bo Magdalena, ich niania, utrzymywała, że ciągle skrzecząca sroczka, przypomina jej wielomówną sąsiadkę tegoż imienia. Kaśka była strasznie ciekawa, wszystko ją interesowało, a niechno tylko zobaczyła jaki jaskrawy gałganek albo coś świecącego, zaraz łapała to i zanosiła do swego gniazdka. Wszyscy lubili ptaszka, jedna tylko Magdalena burczała na nią i przepędzała ją dużą chustką od nosa, gdy tylko Kaśka podeszła do jej koszyka z robotą, ale nic dziwnego, bo psotna sroczka wyciągnęła kiedyś niani srebrny pamiątkowy naparstek i tak go starannie schowała, że przez trzy dni nikt go znaleźć nie mógł.

Kiedyś jednak została Kasia ukarana za swe wścibstwo. Rozłożono lep na muchy. Ogromnie ciekawiły Kasię te błyszczące arkusze, chodziła, kręciła łebkiem, i bokiem patrzyła na Magdalenę, szyjącą pod oknem, bo jednak czuła respekt przed wielką chustką niani. Wtem Magdalenę odwołano. Sroczka zapomniała o lepie a, korzystając z tego, że nikogo niema w pokoju, podskoczyła do upragnionego koszyka i zaczęła dziobem w nim myszkować. Naraz stuknęły drzwi, przestraszona odskoczyła wbok, robiąc niewinną minkę. Skoczyła jednak nieszczęśliwie — w sam środek lepu. Chce skoczyć dalej, coś ją trzyma za nogi! Narobiła wrzasku, zaczęła bić skrzydłami. Zbiegli się wszyscy z całego domu i widzą przerażoną Kaśkę, podlatującą i opadającą z lepem u łapek, a tak przerażoną, że dziobała wszystkich, ktokolwiek jej śpieszył z pomocą. Wreszcie sił jej brakło i wtedy dopiero udało się zmordowanego ptaka uwolnić. Ale od tego czasu nigdy już, nigdy, już nie zbliżała się do koszyka Magdaleny, widocznie skombinowała w swym ptasim łebku, że przygoda z lepem, to była kara za nieposłuszeństwo.

Ale przygody Kasi nie na tem się skończyły. Raz chwycić chciała rozżarzony węgielek i przypiekła sobie dziób. To znów wsadziła dziób do kałamarza i wytarła go o zeszyt Zbyszka, kreśląc dziwne znaki. Wpakowała głowę w pustą kość i ledwo ją uratowano, wreszcie objadła się wiśni z nalewki i tak się strasznie upiła, że spała cały dzień i dzieci myślały, że już zdechła. Od tego jednak czasu nawet na widok słoika od konfitur uciekała w popłochu. I trzeba powiedzieć, że Kaśka była mądra, nigdy nie powtórzyła tej samej, szkodliwej dla siebie, psoty, ale ileż innych na to miejsce wymyślała. Tak przeszła jesień i zima. Przyszła wiosna. Sroczka osowiała, straciła apetyt. Żal się dzieciom zrobiło i wypuściły choć z żalem ulubienicę na wolność — przepadła. Późną jesienią coś zastukało w szybę, jakiś ptak. Otworzyły dzieci okno — a to Kaśka-sroczka wróciła i zaskrzeczawszy coś na powitanie — powędrowała szukać swego gniazdka.

I już tak zostało. Wiosną wyrywała się na swobodę, a na zimę wracała do ludzi.

H. Rostafińska-Choynowska.

GĘSIARECZKA

Jestem mała gęsiareczka,
Zgrzebna na mnie koszuleczka,
Goła główka, nóżki bose —
Gałązeczkę w ręku niosę.
Halela! gąseczki moje,
Waszych sykań się nie boję,
Bo gałązka ta wierzbowa
W karności me stadko chowa.
A na łące tom królowa:
W wianek strojna moja głowa,
Dywany z kwiatów poddani
Kładą pod stopy swej pani.
Dla mnie ptaków nucą rzesze,
Słonko blaskiem serce cieszę —
Wiatr mnie prosi do taneczka,
Wywijam z nim obereczka.
Tańcem znużę się z wietrzykiem —
Siądę sobie nad strumykiem:
Strumyk mruczy cud-bajeczki
W samo uszko gęsiareczki.

H. R. Ch.

NA FUJARCE

Oj gra Maciuś na fujarce
Piosenki, piosenki...
Rzewne płyną tony wokół
I dźwięki, i dźwięki...
Głos się niesie szeroko
Po świecie, po świecie...
Gra on tęsknie i rzewliwie
O lecie, o lecie...
Że przemija, listki barwy
Przemienią, przemienią...
Słonko zblednie, mgły się ciągną
Jesienią, jesienią.
Łka Maciusia fujarka
Tonami, tonami...
Deszcz wtóruje smętkowi
Kroplami, kroplami.

H. R. Ch.

PRZYGODA KACZUSI

Dzika kaczka raz domową bardzo namawiała,
Żeby razem z nią na wyraj kaczusia leciała.
Spodobały się kaczusi, te kuzynki słowa
I już razem z nią na wyraj polecieć gotowa.
Wolność tak kaczusię nęci, cudne obce kraje,
Więc miast wrócić na noc do dom, na stawie zostaje.
Noc zapadła, coś tam pluszcze, coś w trzcinach szeleszcze,
Księżyc świeci — naszą kaczkę biorą zimne dreszcze,
Spać nie może. Ledwo ranek zaświtał na niebie,
Kwaknie: „Żegnaj mi kuzynko, powracam do siebie".
„A gdzie wolność? Nasze loty?" — pyta kaczka dzika —
„Cenię spokój" — odpowiada i mknie do kurnika.

H. R. Ch

Wydawcy: Stowarzyszenie Mis. Księży Pallotynów. Redaktor: Józef Czarnecki.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.
Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

TRZECI KONKURS KWARTALNY.

(Ciąg dalszy)

Termin nadsyłania rozwiązań zadań **trzytygodniowy**, licząc od daty otrzymania numeru.

5. SZARADA (4 pkt.)

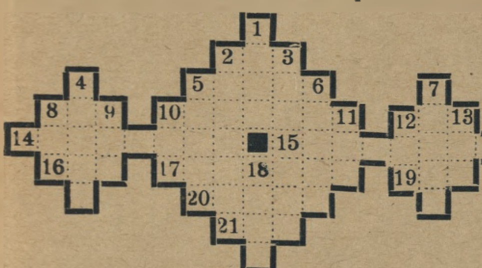
Na ciche pola wypłynął blady
Dziewięć-dziesięć-ca srebrny **czternasty**,
Nie straszą ciebie, o mój **trzynasty**
Pięć-cztery wilków i śmiech najady
Wielki potężny Bracie kochany
Co wielbisz stale Pana nad Pany.

ósma pokora, dobroć i cnota
Chciały na ziemi uczynić **trzeci**,
Ale na **siedem ósma** robota,
Bo **dziesięć-czwarte** pełne jest śmieci.
Nie **jedenaście** dla tych kadzidła
Co w **tuzin-czwartym** łamią Ci skrzydła.

Ale **wspak szóstych** unikaj stale,
Raz-drugie-trzecie cnotę wśród ludzi,
Raz-szóste-nemu pracuj wytrwale,
Aż się ich dusza do czynu zbudzi.
Całe! bo one mogą jedynie
Dać Wam pociechę w smutku godzinie.

„Maciej z Pomorza“ (**czł. Kl. Sz.**)

6. KRZYŻÓWKA (4 pkt.)



Znaczenie wyrazów.

P o z i o m o : 2. Oprawca. — 5. Choroba. — 8. Poeta polski. — 10. Miasto w Grecji słynne zwycięstwem Milcjadesa. — 12. Termin szachowy. — 14. Stolica Pokucia. — 15. Król Wizygotów. — 16. Kwiat nierozwinięty. — 17. Rodzaj stołka. — 19. Wąwóz. — 20. Naszyjnik damski. — 21. Zwój włosów.

P i o n o w o: 1. Częściowa spłata. — 2. Koń rasy czerkieskiej. — 3. Roślina ajer. — 4. Ptak. — 5. Rodz. łodzi. — 6. Imię męskie zdrobniałe. — 7. Sł. rewolucjonista franc. — 8. Duchowny. — 9. Kędzior włosów. — 10. Baśń (bajka). — 11. Imię męskie zdrobniałe. — 12. Miesiąc. — 13. Staroż. ,miasto w Fenicji. — 18. Rzeka w wsch. Syberji.

Witold Nowicki czł. Kl. Sz.

7. SZARADA (3 pkt.)

Jeden z drugiem słońce z nieba,
Popękana wokół gleba, —
Druga-pierwsza już omdlewa,
Żaden wietrzyk nie powiewa.
Jeden-cztery zwierz spragniony,
Kołkiem język obłożony...
Człek też niema swej **trzy-drugiej** —
Płyną z ciała potu strugi...
Jedno wszędzie jest pragnienie:
Trzecia-czwarta! — to marzenie!
— — — — — — — — — —
Nie wiem, skąd się wziął tu **cały** —
Czyż żywioły te go dały?

M. Waksmundzka czł. Kl. Sz.

8. ARYTMOGRAF (5 pkt.)

5 — 18 — 20 — 20 — 7! — 20 — 21 — 23 — 6 — 13 — 4 — 27! — 19 — 1 — 7 — 11 — 2 — 3 — 26 — 27, — 19 — 1 — 18 — 2 — 15 — 16 — 20 — 16 — 8 — 20 — 18 — 22 — 15 — 16, — 6 — 18 — 1 — 20 — 18 — 26 — 27, — 4 — 12 — 27 — 1 — 2 — 12 — 27 — 2 — 16 — 4 — 12 — 18 — 17 — 16, — 24 — 13 — 9 — 10 — 2 — 7 — 12 — 2 — 27 — 19 — 15 — 25 — 11 — 18 — 19 — 18 — 24 — „2 — 7 — 12 — 2 — 27 — 19 — 15 — 18!“

Przy pomocy podanego niżej klucza, proszę, wstawić w miejsce cyfr litery i odczytać rozwiązanie.

Klucz pomocniczy:

1 — 2 — 3 — 4 — 5 — 6 — 7 = resztki spróchniałego przedmiotu
8 — 9 — 10 — 11 — 12 — 13 — 14 = błąkać się
15 — 16 — 17 — 18 — 19 — 13 — 18 — 15 = polski taniec ludowy
20 — 21 — 22 — 23 — 7 = w muzyce: wesoło, lekko
24 — 25 — 26 — 6 — 27 = dzielny.

„13“ z Poznania.

10 REBUS (7 pkt.)

Odczytać treść umieszczonego u dołu rebusa, na którą składa się czterowiersz o niepogodzie z ubiegłych kilku tygodni.

L. Ciesielski cz. Kl. Sz.



LISTA UCZESTNIKÓW I LOSOWANIE NAGRÓD I KONKURSU KWART. 1933.

Przy nazwisku podaną jest ilość zdobytych punktów.

„Argus“ Warszawa 25, Czepiel K. Warszawa 16, Denasiewicz K. Drohobycz 43, Derzko H. Warszawa 14, Herbstmanówna D. Warszawa 43, Ikaniewicz B. Grajewo 28, „Izyda“ Warszawa 18, Jastrzębska Z. Warszawa 43, Jodłówna S. Wilno 22, „Jur i Hala“ Kresy 43, Klimczak R. Warszawa 43, Klimczakowa Janina Warszawa 43, Kowalska J. Warszawa 43, Kowalewski W. Bydgoszcz (z rysunk.) 40, Kozłowska H. Warszawa (z rysunk.) 43, Kozłowski Cz. Warszawa 43, Kozłowski N. K. Warszawa 43, Kuźmianka N. Warszawa 20, „Lile“ Warszawa 10, Lilpop K. Warszawa 43, Łopatto J. Warszawa 43, Łukawski J. Warszawa 22, „Maryśka z Pohulanki“ 43, Mieczkowski A. Wilno 43, Miłowski E. Poznań 43, inż. Modrzejewski J. Lublin 43, Mokrzycka H. Drohobycz 43, Nagalska L. Warszawa 10, Nubert A. Warszawa 43, Dr. Opielińska H. Środa 43, Ochs N. Tarnopol 26, Pankiewicz W. N. Miasto 21, Paluch Wł. Wadowice 42, Połonczowa Z. Złoczów 30, Rutkowska I. Mińsk Maz. (z rysunk.) 43, Rzeszot L. Warszawa 18, Sipowiczówna M. Łuniniec 21, Sławnicki T. Królewszczyzna 43, Strubłówna M. Warszawa 43, Surma J. Białystok 38, Szczepańska I. Wąbrzeźno 43, Szymański W. Warszawa 18, Turek G. Warszawa 19, Ubiegło Sz. Warszawa 32, Urbanek Fr. Huta król. 10. Waksmundzka M. Jasło 43, Warszałowa J. Lwów 18, inż. Wieliczko E. Pińsk 43, Wysocka M. Warszawa 43, Zalewska M. Warszawa 43, Zielińska K. Warszawa 28, Żarkowska U. Kraków 19, Żydło W. Warszawa 22.

Zgodnie z warunkami konkursu przypadły w drodze losowania następującym osobom:

nagrody kwartalne

p. Szczepańska I. Wąbrzeźno (książka)
p. inż. Modrzejewski J. Lublin (kw. pren.)
p. Nubert A. Warszawa (książka).

nagrody miesięczne

p. Waksmundzka M. Jasło (książka)
p. Klimczakowa J. Warszawa (książka)

nagrodę pocieszenia

p. Kowalska Jawna Warszawa (książka)

nagrodę autorską

p. Mokrzycka Helena Drohobycz (kw. pr.)

Nagrody zostaną w najbliższych dniach rozesłane.

HALLO! SZARADZISCI!

Najlepszą rozrywką w czasie wypoczynku letniego da Ci „ROZRYWKA“ (organ Klubu Szar.) Numer 8 (sierpniowy) już wyszedł z druku! Kwart. prenumerata **tylko 2 zł. Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, Kopernika 42 m. 13. K. P. O. Nr. 2048.**

Żądajcie numerów okazowych!

M. Sł.

ZE ŚWIATA RADJA

JAK BADAĆ BEZ PRZYRZĄDÓW OBWODY ELEKTRYCZNE?

W praktyce radjoamatorskiej niezwykle często zdarza się, że po załączeniu anteny, uziemienia, bateryj lub prądu oświetleniowego oraz głośnika, odbiornik mruczy sobie „coś pod nosem" lub milczy jak zaklęty. Jedyną radą aby zmusić go do „zabrania głosu" jest zbadanie dokładne całej instalacji, a więc anteny, odbiornika, źródeł prądu oraz głośnika przy pomocy jakiegoś przyrządu, któryby wskazał wadę tej lub innej części składowej. Najprostszym takim przyrządem jest bateryjka od latarki kieszonkowej, oraz żaróweczka od tejże latarki. Przyrząd ten najtańszy ze wszystkich przyrządów do badania obwodów elektrycznych konstruujemy w następujący sposób: na deseczce drewnianej wymiaru 10 X 5 centymetrów umieszczamy pionowo bateryjkę do latarki kieszonkowej i przymocowujemy ją do deseczki przy pomocy kawałka blachy, uważając, aby blacha nie dotknęła sprężynki bateryjki i aby jej nie spięła krótko. Obok bateryjki umieszczamy oprawkę do lampki od latarki kieszonkowej, przykręcając ją dwiema śrubkami do deseczki. Następnie jedną ze sprężynek bateryjki łączymy przy pomocy kawałeczka drutu z oprawką lampki, do drugiej zaś sprężynki bateryjki i do drugiego zacisku oprawki lampki przymocowujemy po jednym kawałku izolowanego kabelka długości ok. metra. Wolne końce kabelka zaopatrujemy we wtyczki bananowe — przyrząd gotowy. Koszt całego przyrządu wraz z bateryjką i lampeczką nie przekracza 2 zł. Aby zbadać, czy przyrząd działa należycie, wystarczy zetknąć ze sobą końce wtyczek umocowanych przy kabelku — lampka powinna się zapalić.

Badanie obwodów tym przyrządem jest niezmiernie proste: o ile jest w odbiorniku jakakolwiek przerwa lub niedokręcony i nie kontaktujący styk dwóch przewodników, lampka przyrządu badawczego powiadomi nas o braku kontaktu, jeżeli do końców przewodów przyłożymy wtyczki. Jeżeli obwód (np. cewka, sznury głośnikowe, mały opór) nie mają przerwy, lampeczka powinna się zapalić. W razie gdy obwód jest przerwany, lampeczka nie zapali się.

Tym samym przyrządem możemy badać również kondensatory, czy nie nastąpiło w nich przebicie izolacji. Po przyłożeniu wtyczek do zacisków kondensatora dobrego, lampka nie powinna się zapalić, przebicie kondensatora natomiast wskaże nam natychmiastowe zapalenie się lampki. Jeżeli przy badaniu obwodów o większym oporze omowym (cewek na długie fale, oporników żarzenia itp.) lampeczka zajaśnieje przyćmionem światłem, nie należy się temu dziwić bowiem jest to spowodowane wyżej wspomnianym oporem badanego obwodu.

KOMÓRKA FOTO-ELEKTRYCZNĄ SPEŁNIA CZYNNOŚCI ZAPALACZA LATARNI.

Paryż wzbogacił się o jedno nowe zastosowanie komórki elektrycznej: długie przejście podziemne Porte Dauphine zostało zaopatrzone w instalację, dzięki której oświecenie tego przejścia odbywa się od niedawna zupełnie automatycznie. Jak wiadomo, komórka fotoelektryczna inaczej foto-cela, zwana również „elektrycznem okiem" jest jednym z dziwów naszego stulecia umożliwiającem przeróżne czynności automatyczne, uzależnione od stopnia oświetlenia danego przedmiotu, innemi słowami jest czarodziejską komórką selonu regulującą brak lub nadmiar światła odpowiedniemi odruchami elektrycznemi. Otóż w przejściu Porte Dauphine umieszczono 242 ogniska świetlne, z których każde jest zaopatrzone w „elektryczne oko". Dzięki tej kontroli 242 ócz elektrycznych, w przejściu zapalają się i świecą tylko te lampy, które znajdują się w miejscach niedostatecznie oświeconych. Zmrok naprzykład sam kolejno zapala lampy, począwszy od wewnętrznej, a skończywszy na tych które są umieszczone bliżej wejścia lub wylotu tunelu; zachmurzenie nieba działa podobnie, a w tej wrażliwości i odruchowości „elektrycznego oka" na impulsy świetlne jest ścisłość o wiele przewyższającą sprawność ośrodków nerwowych ludzkiego mózgu. Możnaby powiedzieć, że cała brygada zapalaczy latarń nie zdołałaby tak dokładnie — chciałoby się powiedzieć „tak sumiennie" — obsłużyć oświecenia tunelu przy każdem słabnięciu światła słonecznego, spowodowanego najściem chmury.

WYNIKI KONFERENCJI RADJOFONICZNEJ W LUCERNIE.

Niesłychanie szybki, kroczący siedmiomilowemi krokami postęp radjofonji światowej sprawił, że nawet eter stał się za ciasny. Okazało się, że ilość fal potrzebnych dla radjofonij i zarezerwowanych na ten cel jest stanowczo za mała wobec coraz to większej ilości rozgłośni. To też kwestja podziału fal, to jedna z najważniejszych spraw, która absorbowała kierownictwa radjofonji całego świata na międzynarodowych konferencjach, a zwłaszcza na zeszłorocznej kilkomiesięcznej konferencji madryckiej oraz tegorocznej konferencji w Lucernie. Na konferencji madryckiej załatwiono szereg zasadniczych spraw, dokonywując podziału fal między różne służby i określając granice t. zw. strefy europejskiej. Natomiast kwestję dużej doniosłości jaką przedstawia podział fal dla broadcastingów europejskich, miano rozstrzygnąć na specjalnej konferencji z udziałem delegatów zainteresowanych państw i radjofonij. Konferencja ta rozpoczęła swoje obrady w maju r. b. w Lucernie. Niestety, tak się złożyło, iż nie rozwiązała ona tego poważnego zagadnienia w sposób ostateczny ku zadowoleniu wszystkich uczestników obrad.

STANOWISKO DELEGACJI POLSKIEJ.

Konferencja lucerneńska po sześciotygodniowych obradach dokonała podziału fal między poszczególne państwa. Rzecz jasna, iż największa walka zawiązała się przy podziale fal długich, a więc fal najbardziej pożądanych przez poszczególne radjofonje. Podział tych fal nastręczał dużo trudności wobec zwiększenia się ilości stacyj pracujących na tych falach.

Dokonując podziału, przyjęto m. in. zasadę, iż stacje położone daleko od siebie mogą pracować na tych samych falach. Dzięki temu udało się niejako powiększyć ilość fal stojących do dyspozycji radjofonji. Drugiem ważnem postanowieniem jest sprawa ograniczenia mocy stacyj pracujących na falach długich do 150 kw, zaś na falach średnich od 30 do 100 kw. Delegacja polska ostatecznego protokułu konferencji lucerneńskiej nie podpisała, zajmując stanowisko wyczekujące wraz z kilkoma innemi państwami jak Szwecja, Holandja, Grecja, Litwa i Węgry. Państwa te motywowały swoje stanowisko tem, iż zdaniem ich, wykonanie układu nastręczy wiele trudności zarówno z punktu widzenia technicznego, jak i organizacyjnego.

STAN POSIADANIA RADJOFONJI POLSKIEJ UTRZYMANY.

Jak przedstawia się stan radjofonji polskiej w dziedzinie fal po ostatniej konferencji? Porozumienie w Lucernie utrzymuje naogół polski stan posiadania. Jednakże delegacja polska wystąpiła z żądaniem przyznania dobrej fali dla projektowanej w Toruniu rozgłośni, której budowa ma się rozpocząć w najbliższej przyszłości. Przyznanie tej fali nie zostało jednak definitywnie załatwione. Natomiast delegacja polska poszczycić się może dużym sukcesem w tak ważnej dziedzinie, jak uregulowanie stosunków z sąsiedzkiemi stacjami sowieckiemi. Jak wiadomo, jedna ze stacyj moskiewskich o dużej mocy pracuje na fali zbliżonej bardzo do fali centralnej rozgłośni polskiej, co odbijało się ujemnie na sprawności i czystości odbioru obu tych stacyj. Zawarty więc został polsko-sowiecki układ radjowy regulujący tę kwestję, przyczem porozumienie to zaakceptowane zostało przez konferencję lucerneńską. W myśl tego porozumienia fala stacji raszyńskiej oddzielona będzie od stacji moskiewskiej przeszło 50 kc, dzięki czemu wszelkie przeszkody, które dotychczas miały miejsce, zostaną wyeliminowane.

Postanowienia międzynarodowej konferencji radjofonicznej w Lucernie mają wejść w życie z dniem 15 stycznia 1934 r. po ratyfikacji przez zainteresowane państwa i radjofonje.

SOWIECKI PLAN ROZBROJENIA W ETERZE.

Radjowa prasa francuska podaje wysoce sensacyjną wiadomość, że Sowiety wystąpiły na konferencji w Lucernie z planem rozbrojenia w eterze. Sowiety uznają za najzupełniej słuszne dążenia konferencji, zmierzające do ukrócenia emisyj propagandowych sięgających zagranicy (!) Gdyby tak było istotnie, musielibyśmy przypuszczać, że Rosja Sowiecka gotowa jest poniechać swej wielojęzycznej propagandy marksowskiej, grzmiącej na całą Europę, byleby Niemcy hitlerowskie zaprzestały kampanji zwalczającej doktrynę Marksa. Istotnie propaganda anti-marksowska prowadzona przez Niemcy z właściwą im systematycznością w języku rosyjskim, grozi zburzeniem u podstaw gmachu prawomyślności radzieckiej, zbudowanej — jak na Ewangelji — na nieomylności idej, głoszonych przez Marksa. Jak dalece Sowietom zależy na zahamowaniu akcyj hitlerowskich Niemiec, widać z faktu, iż oświadczają się one z gotowością przeniesienia w głąb kraju, a więc wycofania z akcji propagandowej potężnych rozgłośni, zbudowanych niedawno w celu nawrócenia Europy na wiarę Marksa. Rzeczpospolita Radziecka musi się czuć silnie zaszachowaną, skoro własnowolnie godzi się na tak niespodziewane ustępstwa.